

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 19 czerwca 1949 r.

Nr 25 (204)

Włodzimierz Sokorski

O właściwy stosunek do sztuki ludowej



Z Festiwalu Polskiej Muzyki Ludowej

Fot. W. Kondracki



Z Festiwalu Polskiej Muzyki Ludowej

Fot. W. Kondracki

Festiwal Sztuki Ludowej, zorganizowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i Polskie Radio, postawił w nowej zupełnie płaszczyźnie problem przewartościowania i wchłonięcia potężnego nurtu ludowej twórczości w łożysko sztuki ogólnonarodowej naszych czasów.

Sztuka ludowa w naszym pojęciu jest bowiem nie tylko zjawiskiem społeczeństwa klasowego, lecz jako samodzielny, własny nurt kulturalny mas ludowych, powstała i ukształtowała się jako antyteza szlacheckiej, dworskiej kultury, tym samym korzeniami swymi sięgając społeczeństwa, opartego na pańszczyźnianej pracy najszerszych mas chłopskich.

W tych więc warunkach, o ile kultura dworska, w miarę swego wyrażania się, odrzucała się od narodowego podłoża i ulegała kosmopolitycznemu i formalnemu skostnieniu, o tyle sztuka ludowa żywiła się zawsze wiecznie twórczym, głęboko narodowym, a jednocześnie głęboko klasowym nurtem społecznym, ulegając w ten sposób wszystkim przemianom, przekształceniom i przewartościowaniom ówczesnego życia wsi polskiej.

Dialektyczna jedność treści i formy może nigdzie indziej nie jest tak ostro zarysowana i uwypuklona jak właśnie w sztuce ludowej. Jest to bezpośredni rezultat jej związania z podglebiem życia, jest to rezultat bezpośredniego przetrwania codziennych przejawów bytu w sferę tańca, pieśni, rzeźby, ubioru, wzoru, tkaniny i architektury.

Stąd też konserwatyzm czy też tradycjonalizm sztuki ludowej jest tylko pozornym, zewnętrznym przejawem, chociaż niewątpliwie wolniejsze tempo przemian form ustrojowych na wsi nie mogło pozostać bez wpływu na tempo przekształceń jej artystycznych formacji.

Sprowadzanie więc zakresu i zasięgu sztuki ludowej do jakoby niezmiennych i zakończonych już w swoim rozwoju motywów, tonacji, wątków tematycznych, czy też wzorów artystycznych jest poważnym nieporozumieniem, zaistniałym w pewnych kołach artystycznych tylko na skutek niedostatecznej znajomości prac badawczo-porównawczych.

Historia różnych rodzajów sztuki ludowej wskazuje niezbicie, że zmieniała się nie tylko jej klasowa treść i klasowa problematyka, lecz powstawały, zamierały, lub odradzały się w nowej postaci te wątki tematyczne i te motywy muzyczne, taneczne, czy też plastyczne, które w tej lub innej postaci były odpowiednikami

ówczesnych, przemian społecznych, lub wręcz buntów czy rewolucji chłopskich. Częstokroć pozornie martwa już tradycja zewnętrznej obrzędowości przy bliż-

sjonalizmu mistyczno-religijnego, pozbawionego treści społecznej, tak charakterystycznej dla szeregu motywów religijnych okresu pańszczyźnianego.



Z Festiwalu Polskiej Muzyki Ludowej

Fot. W. Kondracki

szym zbadaniu zdradza nowe, zupełnie spojrzenie i nową zupełnie interpretację tematyczną, a nawet formalną, tak charakterystyczną dla danej epoki i dla danego klimatu społecznego.

W ten sposób sztuka ludowa jest określona zupełnie kategorią historyczną, historycznie powstała i ulegającą historycznym przekształceniom, kategorią wkraczającą w nową epokę jako zjawisko żywe, twórcze i kształtujące się wciąż na nowo.

Zasadniczym zwrotnym punktem w rozwoju sztuki ludowej było oczywiście zniesienie pańszczyzny i przejście wsi do gospodarki drobnostawowej w kapitalistycznym społeczeństwie.

W tych nowych zupełnie warunkach postępujące z każdym dniem rozwarstwienie klasowe wsi musiało pociągnąć za sobą również i klasowe rozwarstwienie kultury ludowej.

Bogatsze elementy wsi polskiej musiały ciążyć i ciążyć coraz bardziej do oderwania tematyki i swoich zainteresowań od podłoża klasowego wsi pańszczyźnianej czy biedniackiej i przesunięcia punktu ciężkości swoich zainteresowań artystycznych do zewnętrznej obrzędowości, trady-

W tych warunkach do sztuki ludowej, reprezentowanej przez bogatą część wsi, zaczął zakradać się specyficzny formalizm:



Zespół kielecki (Bieliny)

Fot. Z. Januszewski

W NUMERZE

między innymi:

- J. M. Gisges — Sztuka ludowa Kielecczyzny.
- W. Strzemiński — W sprawie „prymitywu” ludowego.
- K. Piwarski — Książka o przyczynach drugiej wojny światowej.
- M. Janion — Powieść o powstaniu chłopskim.
- E. Bagriana, J. Stubeł, Ch. Smirnski, C. Spasow, M. Buczkówna, K. Łupiec — wiersze.
- W. Kubański — Nowa Moskwa.
- J. Baculewski — Czego szuka lekarz w literaturze?
- K. Kewes — Louis Aragon — poeta walczący.
- B. Chęciński — O „samoukach” literackich.
- W. Dunarowski — Ciężar rąk.
- A. Wróblewski — Sztuka plastyków - amatorów.
- L. Goliński — List z Wrocławia.

gruncie rzeczy reakcyjno-agrarną postawę bogatej części wsi, wsi zrastającej się z miejskim spekulantem. Prowadzi to rzecz prosta u wielu kierowników zespołów do lubowania się w formalistycznych smaczkach, oderwanych od właściwego tła życia, pracy i walki olbrzymiej większości wsi polskiej.

Jednocześnie jednak Festiwal Sztuki Ludowej ujawnił z całą siłą, jak wielkie możliwości i perspektywy rozwojowe posiada dziś sztuka ludowa, gdy patrzymy na nią w jej historycznym przekroju, gdy świadomie wydobywamy z jej dorobku to wszystko, co i w treści, i w formie było związane z wiekową, historyczną walką wsi polskiej. Gdy siła, teżyżna, piękno i bogactwo motywów ludowych rzucone zostanie na prawdziwe, niesfałszowane tło społeczne i kulturalne naszego narodu. Gdy przenosimy je na obecne tło życia polskiej wsi, wiążące się z miastem w swojej pracy i w swojej walce o nowe, lepsze jutro.

Walka o socjalizm, to klasowa walka o zbudowanie nieklasowego społeczeństwa, a więc również klasowa walka o zbudowanie jednolitej kultury narodowej, osiągalnej jednak dopiero w epoce zwycięskiego socjalizmu.

Problem więc nie stoi dziś w płaszczyźnie bezkrytycznego, a więc obiektywnie fałszywego kulturowania odrębności kultury ludowej, podobnie jak nie stoi on w płaszczyźnie przenoszenia motywów czy wycinanek ludowych na obce jej tło mieszczańskiej, schyłkowej, kosmopolitycznej już dziś kultury.

Natomiast problem stoi w płaszczyźnie wydobycia z kultury ludowej żywego nurtu, zarówno w treści, jak i formie. Żywego nurtu, przewartościującego się co dzień i co godzina w twórczym marszu wsi polskiej do socjalizmu. Sięgamy w kulturze ludowej po te jej bezcenne skarby, które były wyrazem jej społecznej odrębności i społecznego protestu w stosunku do kultury dworskiej i w stosunku do kosmopolitycznej sztuki drobnomieszczańskiej i chcemy wtopić ten żywy, potężny nurt mas ludowych w nową, narodową kulturę epoki socjalizmu, kultury, której drogę w przyszłość otworzyła walka i zwycięstwo klasy robotniczej.

Odrzucamy fałszywą stylizację, głosimy natomiast świadome kształtowanie, a nawet inscenizowanie zarówno w treści jak i formie tworzywa sztuki ludowej.

Odrzucamy sprowadzenie sztuki ludowej do formalistycznej obrzędowości i mechanicznego przenoszenia jej wzorów na obce jej tło. Natomiast głosimy hasło czerpania przez twórców, pisarzy, kompozytorów pełnymi garściami z jej bogactw, celem przetopienia jej treściowego i formalnego wkładu w nową, codzienną twórczość artystyczną dnia dzisiejszego.

Sztuka ludowa i sztuka naszej rzeczywistości zahacza o siebie nie w ciekawostkach formalnych i nie w atonalności motywów, które wyrwane ze swojego podłoża stają się formalistyczną, bezduszną igraszką. Sztuka ludowa i sztuka naszej rzeczywistości wiąże się z sobą w sile bezpośrednich doznań, w sile wyrazu sztuki głęboko narodowej i jednocześnie głęboko ludzkiej, sztuki będącej bezpośrednim wyrazem człowieczych trosk, radości, szczęścia, pracy, trudu, walki i triumfu zwycięstwa.

W NUMERZE 23—24 (202—203) TYGODNIKA „WIES” z dnia 5—12 czerwca 1949 r.:

Bronisław Chęciński — Strajk we wsi Drewnianej; Maciej Koliba — Pisarz walczący dialektycznie. Z przeszłości w przyszłość: Zespół „Wsi” — Rzut oka; J. A. Król — Pierwsi pamiętnikarze, L. Sobierajski — Emigrujący z chłopów na robotników, Wł. Blachut — Pierwsze dziesięciolecie Drugiej Niepodległości, J. A. Król — Dwie drogi, J. Pogan — Obraz wsi w ostatnich latach przed wojną, St. Ignar — O klasowe oblicze ruchu ludowego, J. Chłasiński — Manifest młodego pokolenia, D. Gałaj — W Polsce Ludowej — samorządna spółdzielnia produkcyjna, H. Minc — Sojusz robotniczo-chłopski; Maria Żmigrodzka — W walce o literaturę proletariacką; Władysław Kowalski — Wieś stoi otworem; Jerzy Miller — Wiersze. Zofia Rzeplińska — Do roli sługi kapitalizmu; Władysław Kuszak — Przed Kongresem Związków Zawodowych; Franciszek Apryas — Tak jest odpowiedź klasy robotniczej; Tadeusz Krępowiecki — Narodowość (Centralizacja); Witold Łukaszewicz — Głos chłopskiego socjalisty sprzed 115 laty; Piotr Pigwa — Organizacja postępu na wsi; Witold Jedlicki — Twórcy naukowego socjalizmu; Gustaw Tomala, Józef Grabowicz, Ludwik Młot — uwagi; Fakty i zdania, 33 ilustracje, 16 stron.

Zbieżność pieśni ludowych i pieśni masowych proletariatu to nie zbieżność formalna i nawet nie zbieżność tematyczna. To zbieżność sztuki tętniącej życiem dni naszych, uczuć naszych i walki naszej. To zbieżność dynamiki naszych czasów.

Jeżeli tak spojrzymy na istotę sztuki ludowej, to, rzecz prosta, zrozumiemy, że jej proces rozwojowy nie mógł ulec hermetycznemu zamknięciu czy też twórcemu zahamowaniu. Powstają i będą powstawać w naszych czasach nowe pieśni, nowe tańce, nowe obyczaje, nowe gry zespołowe, nowe wzory tkanin, nowe rzeźby i nowa architektura.

Za tym procesem rozwojowym musi podążać praca naszych twórców i praca kierowników naszych zespołów ludowych. Winna nam w tej pracy przyswiecać zasada wierności i prawdziwości tła oraz świadomy proces ukształtowania postępowego żywego nurtu twórczości ludowej.

A to stawia przed nami szereg wielkich zadań.

Pierwsze zadanie.

To przedstawienie prac ludowych zespołów świetlicowych z toru bezdusznej obrzędowości na tor żywej, twórczej, koncepcyjnej pracy poszukiwania nowych rozwiązań inscenizatorskich, reżyserskich, w oparciu o całe bogactwo antydworskiej, antykapitalistycznej i antykułackiej sztuki ludowej.

Drugie zadanie.

To oczyszczenie sztuki ludowej z fałszywej stylizacji formalnej, sięgającej korzeniami kabaretu i drobnomieszczańskiej, zwyrodniałej kultury.

Trzecie zadanie.

To rozszerzanie zainteresowań zespołów ludowych na twórczość nowej, idącej do socjalizmu sztuki dni naszych.

Czwarte zadanie.

To organizacyjne powiązanie olbrzymiego ruchu zespołów ludowych z Samopomocą Chłopską i Związkami Zawodowymi oraz zagwarantowanie ideologicznego, repertuarowego oraz szkoleniowego kierownictwa państwa poprzez Główną Komisję do Spraw Kultury przy Radzie Ministrów i Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Piąte zadanie.

To dalsze prace badawcze nad sztuką ludową, jej dokumentacją i utrwalaniem — prowadzone pod kątem wydobycia nurtu historycznego — w jej rozwoju.

Szóste zadanie.

To twórcza praca kompozytorów i pisarzy nad wchłonięciem w sztukę narodową naszej epoki tego bogactwa, które zawiera i które z każdym dniem pogłębia Polska Sztuka Ludowa.

I wreszcie siódme zadanie.

To wykształcanie nowych form organizacyjnych, które zapewnią planowy, świadomy jej rozwój.

W tym celu zostaje powołany do życia Naczelny Komitet do spraw sztuki ludowej, którego zadaniem będzie koordynacja i kierownictwo pracami nad właściwym jej rozwojem.

Na czele tego Komitetu, do którego wejdą przedstawiciele wszystkich zainteresowanych organizacji, stanie Minister Kultury i Sztuki.

Przy Ministerstwie Kultury i Sztuki powołane zostanie również do życia Biuro Amatorskiego Ruchu Artystycznego, obejmujące dwa zasadnicze działy pracy: programowo-repertuarowej i świetlicowo-widowiskowej.

Przy Biurze zorganizowane zostanie — w oparciu o Główną Komisję dla Spraw Kultury — Komisja repertuarowo-programowa, w skład której wejdą przedstawiciele zainteresowanych instytucji.

I wreszcie powołana zostanie do życia Centrala Teatrów amatorsko-widowiskowych, z własnym Centralnym Teatrem „Studio”, jako podstawowa baza, wzorzec i rezerwuuar kadr instruktorskich.

Celowo zatrzymujemy się tylko na zasadniczych problemach i wnioskach organizacyjnych nie chcąc się rozpraszać i nie chcąc zaciemniać właściwego obrazu.

Przed nami stoją bowiem wielkie i trudne zadania.

Festiwal Sztuki Ludowej pokazał nam olbrzymie możliwości twórcze, tkwiące w naszym ludzie i w polskich masach pracujących, jednocześnie jednak pokazał nam również i nasze braki oraz poważne niedociągnięcia.

Co jednak jest najważniejsze i decydujące, to droga, która dzięki inicjatywie organizatorów Festiwalu zarysowała się nam jasno, to droga, po której iść odtąd musimy.

Na wiecznie żywe, nieskończenie piękne tło sztuki ludowej musimy rzucić twórczą myśl naszych czasów, wskazując kierunek i metodę rozwiązywania zagadnień.

I to są elementy naszej walki o przyszłe oblicze socjalistycznej kultury Polski Ludowej.

Włodzimierz Sokorski

Katarzyna Łupiec

DŁUG ŚWIATU

Czytałam wczoraj w książce,
Ze u ludów dzikich
Przy obrzędzie wtajemniczenia chłopca
Pokazują mu z ziemi usypany pagórek,
Wzgórze długu.
Pamiętaj, że dłużny jesteś zarówno swoim przodkom
Jak i potomkom!
Kocham ludzi za ich trud,
Za drogę ogromną, którą odbyli z ciemności,
Za ich wytrwałość, walkę,
Za wszystko, co zdobyli.
Za miłość, do której są zdolni,
Która jest twórczością najwyższą,
Z której rodzi się czyn.
Za to, że uwierzyli, że po nich przyjdą inni,
Że nie boją się śmierci,
Która jedynie przecieży przemienia nas w zboże,
W owoc, w drzewo, w kwiat,
Za pracę każdego człowieka,
Który stwarza dla nas dzień dzisiejszy,
Za to, że jeden człowiek jest towarzyszem drugiego
Na Ziemi.

Jeśli słońce wygaśnie,
Przeniesiemy się na inną planetę,
Przeniesiemy nasze Życie.
Nie wolno nam odpoczywać,
Nie wolno zapomnieć, co dłużni jesteśmy
Swoim braciom, milionom Bohaterów,
Którzy wierzyli w nas!

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytuję stale „Wies” i widzę, że w tym piśmie mogą nareszcie pisać ludzie prości. Czytałam piękne rzeczy pisarza Młota i Józefy Witowskiej, której pamiętniki, chociaż była tylko „biedną służącą”, drukujecie, i tylu innych, którzy nie mogliby marzyć nawet o tym, gdyby nie „Wies”. Kiedy teraz przeczytałam piękny poemat „Strajk we wsi Drewnianej” i że go pisał też człowiek bez edukacji, to postanowiłam ośmielić się i swój wiersz do Redakcji wysłać. Chciałam zrobić to już dawno, ale nie miałam śmiałości. Mam lat 25, mieszkam w Tuszynie i dochodzę do posługi w sanatorium w Tuszynie. Ojciec nie żyje, matka pracuje

w mleczarni, starsza siostra dojeżdża do fabryki w Łodzi. Mam jeszcze dwóch braci, którzy chodzą do szkoły powszechnej w Tuszynie. Ja sama skończyłam tylko 7 klas szkoły powszechnej, chociaż ojciec chciał się wyrzec wielu rzeczy, mówił, że dla mnie nawet i tytoniu by sobie nie kupował, bo mu mówili w szkole, że je-tem chętna. W czasie wojny byłam na robotach w Niemczech pod Kassel u bauera, teraz to mi trochę trudno uczyć się, choć czytam dużo, bo do książek mam dostęp.

Chciałabym tylko bardzo, jeżeli mój wiersz jest zły, żeby Pan Redaktor napisał mi, co mam zrobić, to napiszę lepszy.

Katarzyna Łupiec

Bronisław Chęciński

O „samoukach” literackich

Z radością powitałem świąteczny numer „Wsi”, w którym został umieszczony mój poemat pt. „Strajk we wsi Drewnianej”. Dla początkującego pisarza, w sytuacji utrudnionego debiutu jak mój, stanowi to oczywiście poważny krok awansu literackiego.

Nie spodziewałem się, że życiorys mój zostanie zamieszczony w bezpośredniej, surowej formie, myślałem, że ma on służyć redakcji jako materiał do omówienia. Zależało mi więcej na tej części biografii, w której dałem zarys mojego literackiego rozwoju. Brak tego zarysu w zestawieniu z notatką redakcji może stworzyć u czytelnika mylny pogląd co do autora i jego występu. Może on (czytelnik) łatwo pomyśleć, że czytany utwór stanowi owoc odosobnionego, jednorazowego wysiłku pisarskiego człowieka nie dość w tym kierunku przysposobionego i że chyba nie jest to tak znowu trudno przy dobrej woli, dobrym społecznie temacie i odpowiedniej „żyłce” do pisania wykropić wartościowy utwór poetycki. Mówię na podstawie własnego doświadczenia, gdyż w okresie moich zapalczywych początków literackich sam zbyt często ulegałem podobnym złudzeniom.

Oczywiście „siła i patos faktów społecznych oraz przekonania autora” stanowią silną podniętę twórczą, sam to stwierdziłem w swoim życiorysie, mówiąc o fakcie związania poezji z życiem i jego społecznymi przejawami. Niezależnie jednak od tego, aby powstał dojrzały utwór literacki, konieczna jest duża zaprawa techniczna, wyrobienie literackie, będące rezultatem dużej pracy przygotowawczej. Niektórzy ten okres przysposobienia mają szczęście przechodzić na oczach czytelników. Widzimy drukowane ich utwory, stopniowo coraz lepsze i czytając je

dość często, aby nie zapomnieć nazwiska autora mówimy, że jakoś on się ładnie rozwija. Oczywiście w takich warunkach rozwój postępuje dość szybko u zdolniejszych jednostek. Wielu piszących, pozbawionych możliwości publikowania na łamach pism we wcześniejszym okresie pisarskiego rozwoju, zdanych jest na własne siły i upartą wiarę w swoje możliwości. Tacy rozwijają się w odosobnieniu i gdy im się udaje wreszcie wypłynąć zadiwają sobą niejednego, wzbudzając pytanie — skąd się wzięli?

Co do określenia „samouk” to nie cieszy się ono moim zaufaniem. Powiem szczerze, nie lubię tego słowa. Jest to termin obosieczny. Z jednej strony każe wzbudzać u czytelnika pewien podziw dla pisarza określonego tym mianem, z drugiej rodzi w stosunku do niego znaczną nieufność i niewiarę w jego możliwości. Ach, samouk, cóż on tam może stworzyć. Skarżę się na to zaawansowani pisarze jak Jan Brzoza, czy Józef Pogan. Niezadko fakt samouctwa pisarza, jak u nas, utrudnia literacką egzystencję i trzeba by osiągnąć wybitną literacką rangę, na miarę Conrada czy Gorkiego, aby ten fakt nie budził niczyich wątpliwości co do pisarskiego talentu. Moim zdaniem określenie samouk w odniesieniu do poszczególnego pisarza jest niewłaściwe o tyle, że każdy pisarz jest przecież samoukiem w swoim rzemiośle pisarskim. Jego wykształcenie ogólne stanowi osobne zagadnienie, może być ono osiągnięte przez studia szkolne, może je pisarz zdobyć na drodze uciążliwych studiów samodzielnych, faktem jest, że dla osiągnięcia odpowiedniego poziomu artystyczno-literackiego takie, czy inne studia są konieczne i czytelnik zdaje sobie z tego sprawę. Oczywiście w biografii autora trudno pominąć fakt tego samouctwa, lecz należałoby go odpowiednio objaśnić, ukazać w klasowej drodze rozwoju.

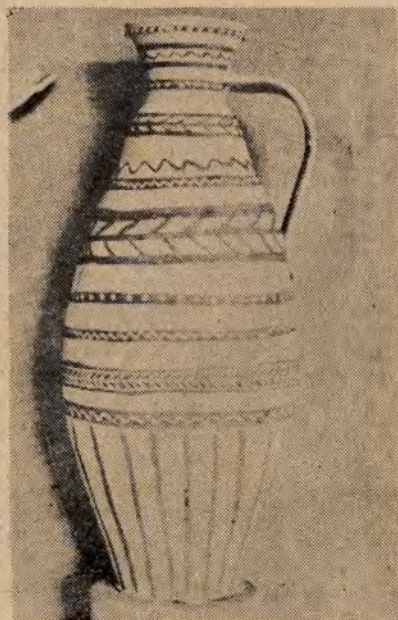
*) „Wies” Nr 23-4.

Jan Maria Gisges

Sztuka Ludowa Kielecczyny

O becny rozwojowy kierunek regionalizmu odbiega bardzo daleko od tych szlaków, jakimi szedł w latach dziesiątych i dwudziestych naszego stulecia. Bo kiedy wówczas emocjonowano się estetyzmem sielankowej wsi, jej strojnoscą, jej pięknem w kategoriach myślenia ludomańskich, o tym dziś patrzymy na wieś, jako na zapóźniony w rozwoju ważny element życia gospodarczego kraju, obserwujemy postęp wsi starając się jak najskuteczniej pomóc jej w podniesieniu stanu gospodarczego i kulturalnego — przez oszczędną gospodarkę, likwidację analfabetyzmu, współzawodnictwo pracy, naprawę dróg, budowę nowych szos, zakładanie bibliotek, świetlic itd. Jest w tej walce o postęp wsi i miejsce na sztukę, sztukę rodzimą, ludową.

Sztuka ludowa ściśle związana z życiem jest dowodem realistycznego poglądu na świat twórcy ludowego i jako taka może być źródłem odrodzenia wielkiej narodowej twórczości artystycznej, wnieść do niej stare a jednak nowe walory i treści.



Gustaw Połetek (Kąty): Wodziarz
Fot. P. Gan

Wystawa tkanin i ceramiki województwa kieleckiego a właściwie ściślej — czterech powiatów — opatowskiego, ilżeckiego, kieleckiego i radomskiego — daje przegląd współczesnej sztuki ludowej, terenu rdzennie świętokrzyskiego, wskazuje na poszukiwania nowych form, na poszukiwania nowych treści i na nowe rozwiązania kolorystyczne, jeśli chodzi o kilimki i tasiemki, oczywiście w oparciu na dobrych, rzetelnych tradycjach ludowych.

Jeśli chodzi o bliższe szczegóły omawianego zagadnienia — należy przede wszystkim zwrócić uwagę na nowe formy. Widzimy je w powierzchniach naczyń zdobionych motywami roślinnymi lub ornamentem geometrycznym, w którym rytm jest podłużny i biegnie z góry na dół, podczas gdy dawniejsze naczynia posiadały rytm poprzeczny. Rytm pionowy stosuje przede wszystkim Kitowski Antoni z Kątów koło Ostrowca Świętokrzyskiego. Prócz tego ceramicy zaczynają stosować rzeźbę na całej powierzchni naczyń oraz ornamenty rytu, co może być zarówno powtórzeniem starych słowiańskich tradycji, jak i rzeczą zupełnie nową. Do nowych form zaliczamy malowanie mis niepolewanych wewnątrz i zewnątrz naczyń, mis z białej gliny. Moniewski Ludwik z Wierzbniaka używa znanych sobie wyłącznie ogniotrwałych farb o kolorach zielonym, czerwonym i ultramarynym. W Kątach zaś ceramicy malują misy ruda.

Józef Gluszek z Chałupek stosuje w ozdabianiu dzbanów i mis ornament wyciskany. Głębokie jego misy o średnicy około 50 cm. posiadają całą powierzchnię pokrytą ornamentem. W zdobnictwie dzbanów Gluszek



Wincenty Kitowski: Dojarka
Fot. P. Gan

łączy trzy elementy, a mianowicie — stempłowanie, ornament grzebykowy, zdobnictwo dzbanów przez naklejanie cienkich wałków gliny. Zamiast siarczanu miedzi do polewy, Gluszek używa opłpek miedzianych, przez co uzyskuje niespotykaną, bardzo ciekawą w efekcie, soczystą w nasyceniu barwę polewy.

Poszukiwania nowych treści wyrażają się w tematyce twórczości garncarzy, to znaczy przeszli oni od wyrabiania swiátków, figurek swietych, kropielniczek itp. do szukania i znajdowania treści we własnym otoczeniu, w życiu codziennym, zdobywania się na swój wyraz artystyczny w tych figurkach. Do wodom są postacie kobiet w zapasach Jadwigi Kosiarskiej z Ilży, konie, dojarka, ptaszki Wincentego Kitowskiego z Ilży, indyki Ciepielewskiego itd.

Dział ceramiczny wystawy kieleckiej doskonale ilustruje stare formy ilżeckie, które znalazły oddźwięk we wszystkich prawie ośrodkach na terenie Kielecczyny, a także pokazuje wznowiony styl zdobnictwa starosłowiańskiego. Ilustracją są naczynia nie polewane, lecz malowane rudą lub glinami innych kolorów.

Aby pokazać dotychczas nieznane fragmenty tkactwa, Ministerstwo Kultury i Sztuki urządziło konkurs na tzw. „tasiemki”. Wyniki są niespodziewane. W konkursie wzięło udział 71 tkaczek nadsyłając 96 prac.

„Osywki” (tasiemki) bieliskie są używane jako obszywki kołnierza zapaski, których końce służą do wiązania. Są szersze niż gdzie indziej, barwniejsze i tkane w desenie. Utrzymane w kolorach jaskrawych, a więc w cynobrze łączonym z zielenią, kobaltem i kołorem białym. Tasiemki z ośrodka mirzeckiego służą do wiązania zapasek, są wszywane w zapaski i węższe do bieliskich. Wykonywane są na płóście, pokazanej na wystawie i najczęściej posiadają kolory czarny, czerwony i biały.

W kilimkach coraz rzadziej występują tradycyjne barwki roślinne w kolorach czer-

wono-modrych. Barwki roślinne są wypierane przez chemikalia, a przede wszystkim przez anilinę. Pomimo jednak stosowania aniliny, która daje dużo możliwości kolorystycznych, tkaczki zachowują umiar i dają w efekcie kilimki w barwach stonowanych. To ostatnie odnosi się do ośrodka mirzeckiego, w skład którego wchodzi kilkanaście wsi. Należy na marginesie zaznaczyć, że na teren regionu świętokrzyskiego przenikają coraz mocniej wpływy Łowiczczyzny i Krakowskiego, a także tkanin fabrycznych.

Poza konkursem na wystawie jest pokazany szereg strygarzy — zakończeń belek pułapowych — ciekawa kolekcja z okolic Świętego Krzyża, Ilży i Wąchocka.

Ekspozycje umieszczone na wystawie należy zaliczyć do postępowego dorobku współczesności i dlatego można powiedzieć, że znaczenie tej wystawy jest bardzo poważne tak pod względem ekonomicznym jak i badawczym i artystycznym.

Wystawa ta ma jeszcze jeden poważny walor. Otóż pozostanie ona w wymiarach bardzo niewiele zmienionych jako stała wystawa w Muzeum Świętokrzyskim w Kielcach — jako „wzorcownia”, aby obok jedynych tu dotychczas stałych wystaw obrazujących przeszłość kulturalną szlachecką, — stać się równą im w wartościach wystawą dającą obraz rodzimej kultury ludowej.

Do tych osiągnięć twórców ludowych, jakie reprezentują zbiory na obecnej wystawie pokonkursowej, waleń przyczyniła się opieka Państwa. Przez opiekę tę należy rozumieć przede wszystkim pomoc materialną Ministerstwa Kultury i Sztuki, pomoc okazaną przez organizowanie konkursów, których na terenie województwa kieleckiego było trzy. Jeden w październiku 1946 r. dla Ilży, drugi w listopadzie 1948 roku dla Chałupek, Denkowa, Koszar, Kątów i Ilży, trzeci w maju 1949 roku na „tasiemki” i ceramikę. I właśnie obecna wystawa jest pokazem wyniku tego ostatniego konkursu.



Józef Gluszek z Chałupek przy warsztacie
Fot. P. Gan

Jak z tego wynika podnoszenie estetyki produkcji odbywa się planowo, co przyczynia się do coraz szerszego i doskonalszego rozwoju sztuki ludowej.

Sąd konkursowy przyznał w dniu 2.6.49 r. wiele nagród, z których najwybitniejsze są:

1. Kitowski Wincenty z Ilży — za ptaszki i postacie ludowe 10.000 zł.
2. Kosiarska Jadwiga z Ilży 10.000 zł.
3. Ciepielewski Konstanty z Ilży za małe ptaszki 6.000 zł.
4. Pastuszkiewicz Matylda z Ilży za koga i kropielniczkę 4.000 zł.
5. Godzisz Franciszek z Ilży — za ptaszki 4.000 zł.
6. Sowiński Stefan z Chałupek — za figurki 3.000 zł.

za naczynia:

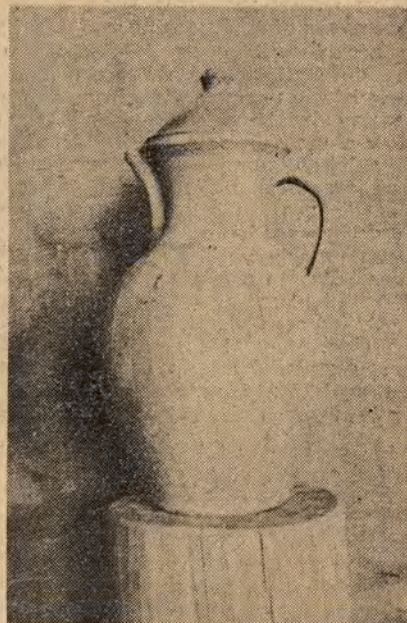
1. Gluszek Józef z Chałupek — za zachowanie najczystszej formy ludowej w dzbanach i misach 10.000 zł.
2. Pastuszkiewicz Stanisław z Ilży — za całokształt prac i działalność artystyczną 10.000 zł.
3. Bąbel Fryderyk z Denkowa — za dzban najprostszy w formie, niepolewany 8.000 zł.
4. Bąbel Tadeusz z Denkowa — za wysiłek techniczny 8.000 zł.
5. Połetek Gustaw z Kątów — za wartości estetyczne — nagroda Wojewódzkiej Rady Narodowej 5.000 zł.
6. Kaczmarek Stanisław z Denkowa — nagroda Wojewódzkiej Rady Narodowej 5.000 zł.
7. Luba Stanisław z Ilży 5.000 zł.

Za „tasiemki”:

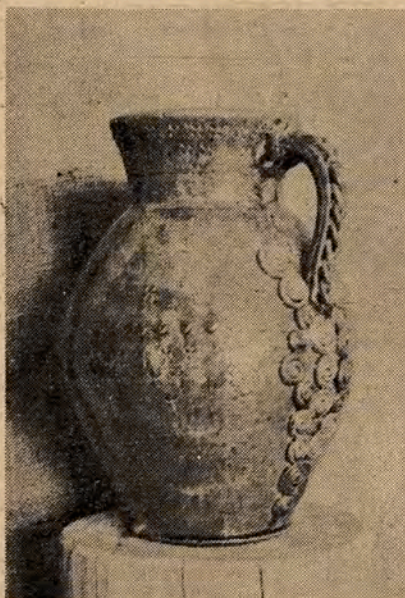
1. Biłska Józefa — nagroda Wojewódzkiej Rady Narodowej 5.000 zł.
2. Sała Maria — nagroda Naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki 3.000 zł.
3. Durlej Anna — nagroda Naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki 2.000 zł.

Sąd Konkursowy przyznał ponadto nagrodę 5.000 zł A. Czarneckiemu z Brzezia za rzeźbę w drzewie — pt. Dojarka.

W pracach związanych z organizacją konkursów, z podnoszeniem estetyki produkcji, z pomocą materialną ceramikom i tkaczom na terenie regionu świętokrzyskiego bardzo duże zasługi położył Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Kieleckiego. Zapewnienie zbytu dzieł ludowej twórczości jest również jednym z najważniejszych elementów dalszego rozwoju rzemiosła. Zbyt ten zapewnia nie tylko rynek krajowy wewnętrzny, którego zainteresowanie wzrasta w miarę wystaw i konkursów dotyczących omawianej gałęzi sztuki, ale również zapewnia go rynek zagraniczny, przede wszystkim ZSRR i Ameryki, gdzie były organizowane wystawy sztuki ludowej przez Biuro Współpracy z Zagranicą Ministerstwa Kultury i Sztuki.



Antoni Kitowski (Kąty): Dzban rytły
Fot. P. Gan



Józef Gluszek z Chałupek: Dzban ozdobny
Fot. P. Gan

Mieczysława Buczkówna

MANIFEST WIOSENNY

Nie płakać tu

zrywa się jak spłoszony ptak

mowa moja zastygła w nierozumnym żalu.

Już nie, Skargi żadnej nie usłyszysz bezmyślna zieleni

i wieczór pięknego maja.

Żywa — nauczę was jak wiersze trwają

gdy niepodległa myśl wabi jak światło.

Jest czas, by w naszym kraju

poeta zapytany co robi

mógł powiedzieć: piszę wiersze.

On bowiem rozumieć musi i czuć

źródło bijące w narodzie

gdy gniewne — nazwać je gniewnie.

Słowa jego szersze być muszą niż płacz

szersze niż radość

piękniejsze niż nadzieja

mocniejsze niż nieporadna myśl — piskłę

w dłoni analfabety.

Mowa polska — odradzasz się szorstką

lecz mierzyć musisz w serca naczulej.

Jak zakwitająca jabłoń jesteś

w gorące uczucie i deszczu

dojrzałym dla wszystkich

stoczysz się owocem.

Wszystkie wiosny uroki

wszystkie wieczory rozszalałych słowików

wszystkie noce wybuchającej zieleni

oddam

za wiersz, do którego

jak do kwiatów pierwszych

każdy się uśmiechnie

ze sobą weźmie.

Władysław Strzemiński

W sprawie „prymitywu” ludowego

Określenie „prymityw” w zastosowaniu do sztuki ludowej, do sztuki szerokich mas pracujących — zmieniało niejednokrotnie w ciągu historii swoją treść. Słowo pozostawało to samo, lecz nadawane mu znaczenie to samo nie było.

W warunkach społeczeństwa, zbudowanego na antagonizmie klas — zawsze masy ludowe skazane były na tworzenie sztuki niepełnowartościowej (w stosunku do współcześnie istniejących wzorów sztuki oficjalnej). Decydował o tym — wyzysk ekonomiczny, ucisk polityczny i społeczny, utrudnione warunki zdobywania wiedzy i kultury, odciepienie od szczytowych wzorów sztuki ogólnosiawowej.

W społeczeństwach rozwijających się na antagonizmie klas — ucisk materialno-społeczny miał swój odpowiednik w panowaniu kulturalnym klas, kolejno panujących nad klasami wyzyskiwanymi. Dlatego sztuka klas, kolejno panujących w historii — wdzierała się do treści kulturowych, przeżywanymi przez klasy ujarzmione. Stąd nasiłanie wiejskiej sztuki ludowej elementami gotyckimi (sztuka podhalańska), elementami barokowymi (sztuka kurpiowska, częściowo sztuka łowicka i in.), elementami naturalizmu XIX wieku (sztuka większości początkujących amatorów miejskich), a nawet impresjonistycznymi w ich specyficznej relacji secesyjno-młodołpolskiej (np. barwność wyćcinanek łowickich).

Ale historia tego nasiłania wpływów kulturowych, idących od warstw panujących — jest jednocześnie historią walk klasowych, toczonych przez wyzyskiwanych przeciwko treściom kulturowym docierającym do nich. W procesie odbioru kultury oficjalnej ulegała ona przekształceniu. Nasiłanie kultury ludowej elementami kultury historycznie panującej nie odbywało się w sposób mechaniczny. Nie bierne przyjmowanie, lecz dialektyczne **przetwarzanie**. Historyczne szeregi świętych przekształcają się. Zamiast sztywnej hierarchii powstaje np. Chrystus frasołliwy. Gotykowi klas panujących przeciwwstawia się gotyk mas ludowych.

Dlatego, mówiąc o sztuce ludowej, należy brać pod uwagę dwa zasadnicze momenty:

1) naturalny niedorozwój kulturalny, wynikający z systemu wyzysku,

2) i wzory, które nie zostają przyswojone w sposób mechaniczny, lecz ulegają dialektycznemu przekształceniu w procesie walki klasowej (odbywającej się również w dziedzinie kultury).

W okresach utrwalonej i ustabilizowanej przewagi jakiegokolwiek klasy panującej — określała ona sztukę ludową, jako sztukę „prymitywną”, nadając temu wyrazowi znaczenie — niedorozwoju. Ze niedorozwój sztuki ludowej w stosunku do sztuki oficjalnej był odbiciem ogólnego niedorozwoju kulturalnego mas ludowych, to fakt. Miara tego niedorozwoju była stopa wyzysku i ujarzmienia, istniejąca na danym etapie historii. Ale pogardliwe słowo „prymityw”, określające nieudolność i niepełnowartościowość sztuki ludowej w porównaniu z poziomem kultury przodujących klas społecznych stanowiło argument na rzecz utrwalenia osiągniętego stanu ujarzmienia.

Charakterystyczne, że w krajach kapitalistycznych popularne jest pojęcie sztuki ludowej przede wszystkim jako sztuki wiejskiej, choć sztuka robotnicza, sztuka miejska, podmiejska, sztuka szerokich mas pracujących — to też jest sztuka ludu. Ale klasy i grupy zagrożone najpierw przez rozwijający się kapitalizm, a później przez ruch robotniczy — szukały sobie sojuszników w pozostałych jeszcze na wsi rezerwatach przeszłości. Stąd wynikała gloryfikacja archaicznych elementów trwających jeszcze na wsi, mīt o nieskażonej, zdrowej naturze pierwotnego chłopu, kult pierwotności i agrarizmu. Chłop miał być tak długo „zdrowym”, jak długo nie wchodził się w nurt nowych przemian. W tym okresie słowo „prymitywizm” zatraciło swoją pierwotną treść i stało się zaklęciem, które ma rzekomo dać nieskażoną pierwotną moc życia i siły. Są to ostatnie lata wieku XIX i pierwsze XX w. Artyści tworzyli mity o odwiecznym, niezmiennym chłopie, a etnografowie zbierali folklor reliktu, nie dostrzegając, że obok rozwijał się ustawicznie drugi folklor — folklor mas, idących już ku wielkim rozstrzygnięciom historycznym.

Z tego punktu widzenia staje się zrozumiałą walka, jaką w latach 1910—1939, gdy zrozumiiano, że chłop jako sojusznik robotnika jest rewolucjonistą, wypowiedziano kultowi sztuki wiejskiej. Było to hasło taktyczne, wysunięte przez postępowe elementy inteligencji. Jego treść wiódł od siebie w ostatnich rozdziałach książki, gdzie daje rzut oka na sytuację międzynarodową po zakończeniu drugiej wojny światowej. W rezultacie czytelnik, zamykając karty książki, rozumie przebieg procesu dziejowego przynajmniej w jego ogólnych zarysach. Książka spełnia należycie swe zadanie.

Na podstawie lektury musi dojść czytelnik przede wszystkim do wniosku, że istotne przyczyny rozwoju wydarzeń w omawianej dobie wynikały z zasadniczych sprzeczności w łonie świata kapitalistycznego. Rywalizacja mocarstw imperialistycznych, która spowodowała pierwszą wojnę światową; doprowadziła do pokonania imperializmu niemieckiego. Na ustaniu jednak powojennego stanu rzeczy zaciążyła od razu rywalizacja tych państw imperialistycznych, które znalazły się w obozie zwycięzców. Schowano do lamusa wiele ze szczytnych hasel prezydenta W. Wilsona, traktując np. z dużą dowolnością zasadę samostanowienia narodów, wypacając idee Ligi Narodów. Na placu pozostały rozgrywki między poszczególnymi imperializmami. Ale nadto na decyzję potentatów doby wersalskiej wpłynął bardzo poważnie jeszcze inny czynnik. Z grona mocarstw imperialistycznych ubył jeden partner — Rosja carska. Tymczasem bowiem zwycięstwo Wielkiej Rewolucji Październikowej pozwoliło stworzyć podstawy pod budowę państwa socjalistycznego ZSRR. 1/6 część globu wypadła z orbity wpływów międzynarodowej gospodarki kapitalistycznej. Z takim stanem rzeczy nie chcieli się imperialiści zachodni pogodzić. W następstwie „tygrysa” Clemenceau, który dążył do rozbicia i obezwładnienia Niemiec, postawił sobie równocześnie cel drugi: obalenie Związku Radzieckiego albo przynajmniej izolowanie go i wyeliminowanie ze spraw europejskich, co zresztą miało stanowić etap przygotowywający do obalenia ZSRR. Otóż samo już wysunięcie równocześnie drugiego celu musiało niezwykle skomplikować realizację pierwszego, niezależnie nawet od obiektywnych możliwości przeprowadzenia programu obezwładnienia Niemiec jak również od właściwości

istotną stanowiło przekonanie, że bez zasadniczej zmiany struktury wsi (społecznej, gospodarczej, kulturalnej) — nie da się jej wyrwać z istniejącego niedorozwoju. Że „prymitywizm” sztuki ludowej jest wyrazem nie jakiegoś urojonego, mistycznego „zdrowia” lecz — trwającego jeszcze nad nią panowania sił pofeudalnych i kapitalistycznych. Ze mówienie o utajonych wartościach „nieskażonej” sztuki wiejskiej — było w rzeczywistości nawoływaniem przeciwko reformie rolnej i współdziałaniu robotniczo-chłopskiemu.

Demokracja Ludowa znosi wyzysk mas ludowych, lecz nie może na poczekaniu wyrównać skutków wielowiekowego działania historii. Nierównomierność kulturalnego rozwoju miast i wsi, przeciwieństwo między pracą fizyczną i pracą umysłową będą małały, lecz ich usunięcie nastąpi dopiero w wyniku dłuższego procesu historycznego, który doprowadzi do realizacji socjalizmu. Dopiero w socjalizmie ustana dysproporcja kulturowa, warunkująca istnienie dwóch nurtów sztuki — „niepełnowartościowej” sztuki ludowej i sztuki „klasycznej” — klasową wrogię.

W okresie Demokracji Ludowej i zakładania podstaw socjalizmu występują i rozwijają się następujące zjawiska:

1) maleje bardzo ideologicznie wrogi ucisk sztuki tworzonej przez klasy wyzyskujące. W związku z tym zmniejsza się nasiłanie jej składników do sztuki ludowej.

2) Klasa robotnicza najszybciej opanowuje spadek kulturalny minionych epok i jego treść przetwarza dialektycznie na elementy kultury rewolucyjnej i kultury socjalistycznej. Przewodząca historyczna rola klasy robotniczej wyraża się m. in. również w tym, że najszybciej, już w procesie dokonującej się rewolucji kulturalnej, wyłania artystów tworzących dzieła na poziomie klasycznych, lecz przesycone nową treścią — treścią tworzącą się kultury socjalistycznej. Przewodząca rola klasy robotniczej wyrazi się również w tym, że treści jej nowopowstającej sztuki przenikną do sztuki klas sojusznicznych (już nie antagonicznych), zastępując tam oddziaływanie elementów ideologii wrogiej.

„Zniesienie przeciwieństwa między pracą umysłową a pracą fizyczną można osiągnąć jedynie na podstawie podniesienia kulturalno - technicznego poziomu klasy robotniczej do poziomu pracowników in-

żyniersko-technicznych... Jest ono całkowicie osiągalne w warunkach ustroju radzieckiego, gdzie siły wytwórcze kraju wyzwolone są z pęt kapitalizmu, gdzie praca wyzwolona jest z jarzma wyzysku, gdzie władzę sprawuje klasa robotnicza i gdzie młode pokolenie klasy robotniczej posiada całkowitą możliwość zapewnienia sobie dostatecznego wykształcenia...” (Stalin. Przemówienie na pierwszej naradzie stachanowców).

3) Postępująca rewolucja kulturalna usuwa nie istniejące niedobory i nierównomierność rozwoju. Lecz przed jej dokonaniem, przed opanowaniem przez całą ludność pracującą całego spadku kulturalnego minionych epok historycznych, nie jest możliwe zlanie się obu nurtów sztuki, historycznie uwarunkowanych — nurtu ludowego i nurtu oficjalnego („klasycznego”).

W tym sensie — nie jest zamknięta kwestia historycznego uwarunkowania istnienia „prymitywu” ludowego. Demokracja Ludowa znosi wyzysk mas pracujących, lecz nie może na poczekaniu wyrównać skutków wielowiekowego działania historii.

Niedobór kulturalny — siła rzeczy będzie jeszcze powoływał do życia — sztukę prymitywu ludowego. Lecz rozwój tego prymitywu będzie się odbywał nie pod znakiem wyzysku przez klasy wrogię, lecz pod znakiem krzepnącego sojuszu chłopsko-robotniczego. Treść swego wyrazu znajdzie on w treściach wynikających z pomocy klasy robotniczej dla klas sojusznicznych — na drodze do realizacji socjalizmu — we wspólnej walce, we wspólnej pracy i wspólnych ideałach ludności pracującej. I w miarę dokonującej się rewolucji kulturalnej — nie z „prymitywem”, a z folklorem — „twórczością ludu pracującego”, organicznie stapiającym się z pełną sztuką klasyczną i ją determinującym, będziemy mieć do czynienia.

Podłoże więc dla istnienia sztuki ludowej — folkloru nie znika, lecz zmienia się kierunek jej rozwoju. Ze sztuki odbijającej wyzysk i ucisk staje się ona wyrazem sojuszu mas pracujących pod przewodnictwem klasy robotniczej — wyrazem budowy socjalizmu i społeczeństwa bezklasowego — wyrazem obudzonej inicjatywy kulturotwórczej — wyrazem rewolucji kulturalnej, przetwarzającej dawny „prymityw” ludowy na przyszłą klasyczną sztukę epoki socjalizmu.

Kazimierz Piwarski

Książka o przyczynach drugiej wojny światowej

Kiedy dzisiaj nieprzeliczone masy ludzkie na całym świecie skupiają się pod sztandarem pokoju, zjednoczone w niezłomnej woli przeciwstawienia się intrygom podżegaczy wojennych i niedopuszczenia do rozpętania nowej wojny, myśl ludzka zwraca się nader często do lat poprzedzających drugą wojnę światową. Każdy bowiem myśliciel człowiek musi stawiać sobie pytanie, jak doszło do rozpętania owej wojny, która omal nie skończyła się katastrofą cywilizacji europejskiej. Z odpowiedzią pospieszają liczne publikacje, których w państwach zachodnich można liczyć już całe setki. Ale często odpowiedź taka niewiele ma wspólnego z prawdą historyczną: nieraz zaś celem owych publikacji jest wprost zaciemnienie obrazu minionej rzeczywistości, świadome i tendencyjne wprowadzanie w błąd czytelnika. Sprawa nie trudna do wytłumaczenia. Tym elementom, które w istocie ponoszą winę rozpętania drugiej wojny światowej, które i dzisiaj z całą zbrodniczą premedytacją szerzą historię wojenną, zależy ogromnie na bałamuceniu opinii publicznej, aby utrudnić jej właściwe rozpoznanie prawdy historycznej: na tej bowiem drodze spodziewają się jeszcze uratować swe pozycje i odwrócić nieuchronne bankructwo. Dlatego właśnie stoi dzisiaj przed uczciwymi badaczami genezy drugiej wojny światowej doniosłe zadanie demaskowania owych elementów i dostarczenia szerokim sferom czytelników prawdziwego obrazu owych wydarzeń historycznych, które poprzedziły wybuch drugiej wojny światowej.

Ważną pozycją w tej dziedzinie jest książka R. Jouvénela „Vingt années d'erreurs politiques” (Paris 1947, Editions Hier et Aujord'hui). Konstrukcja książki uderza oryginalnością. Autor nie daje ciągłego opowiadania, ograniczając się raczej do ugrupowania materiału i do uwag wiążących poszczególne rozdziały oraz niezbędnych wyjaśnień i ostatecznych konkluzji. Na główną natomiast treść książki składają się niezmiernie obfite cytaty z innych autorów, w znacznej mierze wypowiedzi wybitnych aktorów roz-

grywających się wydarzeń, reprezentujących różne kierunki i różne poglądy. Tak skonstruowana książka działa na czytelnika niezwykle sugestyjnie, zbliża go do niedawno minionej rzeczywistości dziejowej, pozwala mu zorientować się wszechstronnie w ludziach i wypadkach. W rezultacie książka Jouvénela, jakkolwiek nie stanowi pełnego opracowania historii 20-letniego okresu międzywojennego, niemniej dostarcza mnóstwo materiału, dającego doskonałą podstawę nie tylko do zapoznania się z powierzchnią życia politycznego, ale również do wniosków w kulisach rozgrywających się na arenie międzynarodowej wydarzeń.

Renaud de Jouvénel rozpatruje 20-letni okres między dwiema wojnami światowymi pod kątem widzenia „błędów” politycznych, popełnionych przez zwycięskie państwa koalicji po klęsce Niemiec w r. 1918; znalazło to swój wyraz w tytule książki, w którym mowa o „dwudziestu latach błędów politycznych”. Słowo „błąd” ujęliśmy poprzednio celowo w cudzysłowy, gdyż wymaga ono pewnego wyjaśnienia. Kiedy Jouvénel pisze o „błędach”, to ma to swoje uzasadnienie specyficzne: autor zajmuje tutaj celowo pozytywne pojęcie czytelnika, który na podstawie wyników 20-letniego okresu międzywojennego dochodzi do wniosku, że w dobie wersalskiej popełniono szereg ciężkich „błędów”, powodujących wszystkie fatalne konsekwencje do katastrofy drugiej wojny światowej. Jouvénel pomaga sam wydatnie czytelnikowi do odpowiedniego uszeregowania owych „błędów”, nie pozwalając na pominięcie żadnego z poważniejszych. Ale autor idzie dalej i stara się od razu wyjaśnić, dlaczego takie czy inne „błędy” popełniono. Przeważnie zaś podsuwa już czytelnikowi wyjaśnienie przez dostarczenie mu odpowiednich tekstów z innych autorów, których zestawienie daje w zasadzie wystarczający materiał do konkluzji. Niektórzy autor ułatwia czytelnikowi wysnucie właściwych wniosków dodając od siebie uwagi krótkie, raczej dyskretne. Nieco więcej mó-

wi od siebie w ostatnich rozdziałach książki, gdzie daje rzut oka na sytuację międzynarodową po zakończeniu drugiej wojny światowej. W rezultacie czytelnik, zamykając karty książki, rozumie przebieg procesu dziejowego przynajmniej w jego ogólnych zarysach. Książka spełnia należycie swe zadanie.

Na podstawie lektury musi dojść czytelnik przede wszystkim do wniosku, że istotne przyczyny rozwoju wydarzeń w omawianej dobie wynikały z zasadniczych sprzeczności w łonie świata kapitalistycznego. Rywalizacja mocarstw imperialistycznych, która spowodowała pierwszą wojnę światową; doprowadziła do pokonania imperializmu niemieckiego. Na ustaniu jednak powojennego stanu rzeczy zaciążyła od razu rywalizacja tych państw imperialistycznych, które znalazły się w obozie zwycięzców. Schowano do lamusa wiele ze szczytnych hasel prezydenta W. Wilsona, traktując np. z dużą dowolnością zasadę samostanowienia narodów, wypacając idee Ligi Narodów. Na placu pozostały rozgrywki między poszczególnymi imperializmami. Ale nadto na decyzję potentatów doby wersalskiej wpłynął bardzo poważnie jeszcze inny czynnik. Z grona mocarstw imperialistycznych ubył jeden partner — Rosja carska. Tymczasem bowiem zwycięstwo Wielkiej Rewolucji Październikowej pozwoliło stworzyć podstawy pod budowę państwa socjalistycznego ZSRR. 1/6 część globu wypadła z orbity wpływów międzynarodowej gospodarki kapitalistycznej. Z takim stanem rzeczy nie chcieli się imperialiści zachodni pogodzić. W następstwie „tygrysa” Clemenceau, który dążył do rozbicia i obezwładnienia Niemiec, postawił sobie równocześnie cel drugi: obalenie Związku Radzieckiego albo przynajmniej izolowanie go i wyeliminowanie ze spraw europejskich, co zresztą miało stanowić etap przygotowywający do obalenia ZSRR. Otóż samo już wysunięcie równocześnie drugiego celu musiało niezwykle skomplikować realizację pierwszego, niezależnie nawet od obiektywnych możliwości przeprowadzenia programu obezwładnienia Niemiec jak również od właściwości

ścisłości metod, które miały do tego służyć. Splot powikłań stawał się zaś stopniowo coraz trudniejszy do rozwiązania, kiedy cel drugi postawiono sobie nie tylko równocześnie ale i równorzędnie (zwłaszcza po niepowodzeniach akcji zbrojnej interwencji, która rozwiała w obozie imperialistycznym nadzieje na łatwe obalenie ZSRR), a w końcu wysunięto go na plan pierwszy w kołach imperialistycznych, zatrzwożonych utrwaleniem się i rozwojem budownictwa socjalistycznego Związku Radzieckiego. Już tutaj znajdujemy wyjaśnienie większości „błędów” doby wersalskiej i powersalskiej.

Wystarczy tylko zestawiać kilka faktów. W programie zwycięzców, przede wszystkim kół rządzących we Francji, było rozbrojenie Niemiec. Tymczasem już w czasie konferencji pokojowej w r. 1919 właśnie czołowi politycy i wojskowi francuscy wyznaczali Niemcom rolę „bastionu” przeciw „czerwonomu niebezpieczeństwu” (pragnąc zwłaszcza po gnębieniu sił rewolucyjnych w Niemczech), co już samo w konsekwencji musiało powodować pobłażanie w stosunku do Niemiec w kwestii faktycznego rozbrojenia. W miarę zaś jak bezpłodne okazywały się wszelkie wysiłki obalenia czy choćby zahamowania rozwoju państwa socjalistycznego ZSRR, koła wielokapitałistyczne anglosaskie uznały, że „rozbrojenie Niemiec stanowi wielką groźbę przeciw pokojowi w Europie”. Ten punkt widzenia, podzielany w podobnych kołach francuskich, został w końcu przyjęty przez kierowników polityki francuskiej: wprawdzie trudno było zrezygnować z marzeń o hegemonii Francji w Europie, ale przecież „wyższe interesy” były decydujące! W owym to czasie wyznaczano już wyraźnie Niemcom — hitlerowskiemu od r. 1933! — rolę nie tylko „bastionu ochronnego” ale i „tarana” przeciwko Związkowi Radzieckiemu, nawiązując do dawniejszych zresztą planów „krucjaty” przeciwko ZSRR. Zbrojenia wojenne niemieckie były w tych planach elementem pożądanym, wprost koniecznym! — tym więcej, że finansowanie owych zbrojeń stanowiło wcale niezły inte-

res dla świata trustów i karteli międzynarodowych.

Niewątpliwie jednym z poważnych „błędów” polityki francuskiej po pierwszej wojnie światowej było forsowanie koncepcji rozbicia jednolitej Niemiec przez popieranie fikcyjnych separatyzmów (których jedyną w gruncie rzeczy ostoją były jednostki kupione za pieniądze francuskie). Dużego rozgłosu nabrała zwłaszcza sprawa tworzenia osobnego „państwa nadreńskiego”. Inspirowały ją w istocie kartele francuskie, które chciały położyć rękę na kopalniach i fabrykach nadreńskich. Rezultaty były opłakane: „separatyzmów”, które nie miały żadnego istotnego podłoża, nie dało się sztucznie stworzyć; same zaś tego rodzaju próby były tylko wodą na młyn agitacji nacjonalistów niemieckich, ożywiały hasła rewansu i torowały drogę — hitleryzmowi. Podobne rezultaty przyniosła również okupacja Zagłębia Ruhry przez wojska francuskie w r. 1923, przeprowadzona przez rząd francuski pod naciskiem kartelu metalowego (comité de forges). Przypomnijmy, że cała sprawa przedstawiona była w prasie nacjonalistycznej francuskiej jako sprawa honoru Francji: kiedy ze strony kół lewicowych podnoszono głosy, prasa nacjonalistyczna odsadzała owe koła od patriotyzmu, nie cofając się przed zarzutami zdrady narodowej! Jouvelel podaje nieodparte dowody, że cała kampania prasowa inspirowana była przez wspomniany kartel metalurgiczny i była najściślej związana z kombinacjami oligarchii finansowej francuskiej, w szczególności rodziny Wendel (jedna z owych „200 rodzin”, rządzących faktycznie Francją). Następstwa przejściowej zresztą okupacji były z punktu widzenia istotnych interesów Francji niezwykle szkodliwe. Dodajmy, że owe „wysoce patriotyczne” koła kartelu metalurgicznego odegrały bardzo podejrzaną rolę w toku pierwszej wojny światowej, kiedy to sprzeciwiały się (wywierając skuteczny nacisk na kierownictwo polityczne i wojskowe francuskie) bombardowaniu okupowanego przez Niemców lotaryńskiego zagłębia Briey, którego eksploatacja była ważną podporą produkcji wojennej niemieckiej, przyczyniając się w ten sposób niemało do przedłużenia wojny!

A jeszcze dalsze fakty. W traktacie w Saint-Germain (1919) postanowiono utrzymać małego państwa austriackiego, które miało cieszyć się pełną niepodległością i suwerennością. Egzystencji Austrii zagroziły szczególnie dążenia nacjonalistów niemieckich, w których programie był tzw. „Anschluss”. Obowiązkiem państw zachodnich, jako sygnatariuszy traktatu, było chronienie Austrii przed zakusami na jej niepodległość. Padła istotnie gęsto tego rodzaju zapewnienia ze strony kół rządowych państw zachodnich, ale tylko do czasu. Kiedy bowiem w polityce państw zachodnich przeważało zdanie, że porozumienie z Hitlerem i skierowanie go przeciwko ZSRR jest znacznie ważniejsze niż upieranie się przy poszanowaniu traktatów, nie czyniono przeszkód Hitlerowi i pozwolono mu w ramach polityki „zaspokojenia” (appeasement) na zagarnięcie Austrii.

W szczególności zaś drastyczny sposób zaznaczyła się zmiana punktu widzenia państw zachodnich w stosunku do Czechosłowacji. Zrazu pupilka wpływowości kół w państwach zachodnich została w końcu Czechosłowacja oddana na pastwę Hitlerowi z całym cynizmem i bezwzględnością w Monachium — pod pretekstem konieczności „ratowania pokoju”, a w istocie w celu „zaspokojenia” Hitlera, osiągnięcia trwałego porozumienia czterech mocarstw (W. Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch), zgodnego podziału Europy na sfery wpływów i zwrócenia zaburzonej ekspansji hitlerowskiej przeciwko ZSRR.

Z zagadnieniem tym łączy się ogólny problem polityki państw zachodnich w stosunku do państw mniejszych i małych, przywróconych do samodzielnego bytu, nowokreowanych, względnie wydanych powiększonych w dobie wersalskiej, jak np. Polski, Czechosłowacji, Rumunii. Państwom tym wyznaczała mocarstwa zachodnie dwojaką rolę: szachowania Niemiec od wschodu (motyw ten występował w polityce Francji) oraz tworzenia „barier”, „wahu ochronnego” czy też „druku kolczastego”, izolującego ZSRR od reszty Europy. Stopniowo jednak dokonywała się znamienna ewolucja poglądów na te sprawy. Pierwszym tego wyraźnym sygnałem było Locarno (1925), gdzie państwa zachodnie zadowolili się gwarancją rządu niemieckiego zachowania status quo na zachodzie, pozostawiając w ten sposób faktycznie wolną rękę Niemcom na wschodzie. W miarę zaś jak porozumienie z Niemcami wydawało się im coraz cenniejsze, rządy państw zachodnich kroczyły dalej po tej drodze — aż do Monachium. Mniejsze i małe państwa na wschód od granic Niemiec stanowiły w końcu tylko obiekt przetargów mocarstw zachodnich w kleceniach upragnionego porozumienia z Hitlerem. Równocześnie jednak nigdy nie straciła na aktualności dla mocarstw zachodnich druga rola, jaką wyznaczały wspomnianym państwom. Stąd też płynęło poparcie udzielane elementom reakcyjnym, antyradykalnym w owych państwach. Taką polityką prowadziła w końcu do kompletnej izolacji tychże państw i skazywała je na zagładę. Rzecz prosta, że pogarszały jeszcze znacznie sytuację rodzime elementy reakcyjne, jak to miało miejsce np. w Polsce, gdzie reżim sanacyjny, utrzymujący

kurs zdecydowanie antyradykalny przy równocześnie faktycznej współpracy z Hitlerem, prowadził Polskę na drogę „polityki samobójczej”; tak określił ją w lipcu 1938 r. jeden z czołowych komunistów francuskich Gabriel Péri¹⁾, a Jouvelel, cytując to określenie, podkreśla, że zostało ono w pełni potwierdzone dalszym przebiegiem wypadków.

Wytykając „błędy” popełnione przez wielkie mocarstwa, nie pomija Jouvelel milczeniem także i „błędów” kół rządzących w innych państwach, które zresztą, mimo formalnej niezależności, pozostawały przeważnie

waniem sankcji gospodarczych wobec agresorów. Ale znowuż potrzebna była tutaj dobra wola wszystkich państw (a w szczególności wielkich mocarstw) postawienia tamy agresorom. Tymczasem zaś istotne dowody dobrej woli złożył jedynie ZSRR, który bezustannie nawoływał do współpracy nad organizacją zbiorowego bezpieczeństwa. Brakło natomiast dobrej woli po stronie mocarstw zachodnich, które wolały wybrać drogę „nieinterwencji”, „pobłażania” (appeasement) i paktowania z agresorami faszystowskimi. Chodziło o ugięcie agresorów i nakłonienie ich do zgod-

ku polityki mocarstw zachodnich: znajomość tej publikacji pozwoliłaby Jouvelelowi jeszcze lepiej ugruntować i rozwinąć zasadniczą tezę.

Monachium było próbą zmontowania paktu czterech mocarstw, które narzucały swój dyktat Czechosłowacji a następnie — wedle koncepcji premiera brytyjskiego Chamberlaina — miały rozdzielić zgodnie sfery wpływów w Europie. Ale, jak to zwykle bywa między imperialistami, szło o podejście i przechytrzenie partnerów. Rywalizacja bowiem pomiędzy poszczególnymi państwami imperialistycznymi stanowi integralny składnik imperializmu. Cel zasadniczy imperialistów zachodnich i faszystowskich był niewątpliwie w istocie taki sam: zniszczenie socjalizmu. Nie oznaczało to jednak rezygnacji z innych celów. Imperialiści zachodni pragnęli, aby Hitler spełnił wyznaczoną mu rolę „żandarma Europy” i uwikłał się w konflikt na Wschodzie: korzyści z tego główne mieli wyciągnąć ostatecznie imperialiści zachodni. Inaczej jednak rozumował Hitler, który chciał dla siebie wyłącznie zebrać owoce ostatecznego zwycięstwa. W stosunkach między państwami imperialistycznymi miarodajny jest jedynie aktualny układ sił politycznych i gospodarczych. W przeddzień Monachium był Hitler partnerem słabszym i skłonniejszym do porozumienia. Układ monachijski wzmacnił ogromnie jego pozycję: dalsze posunięcia Hitlera, które były zresztą konsekwencją Monachium, spowodowały znaczne jeszcze przesunięcie w układzie sił na jego korzyść. W rezultacie rosły jego apetyty: formułował coraz nowe żądania zaborcze. Nie myślał już ograniczać się do wyznaczonej mu takiej czy innej sfery wpływów: czuł się na siłach do sięgnięcia po hegemonię w Europie.

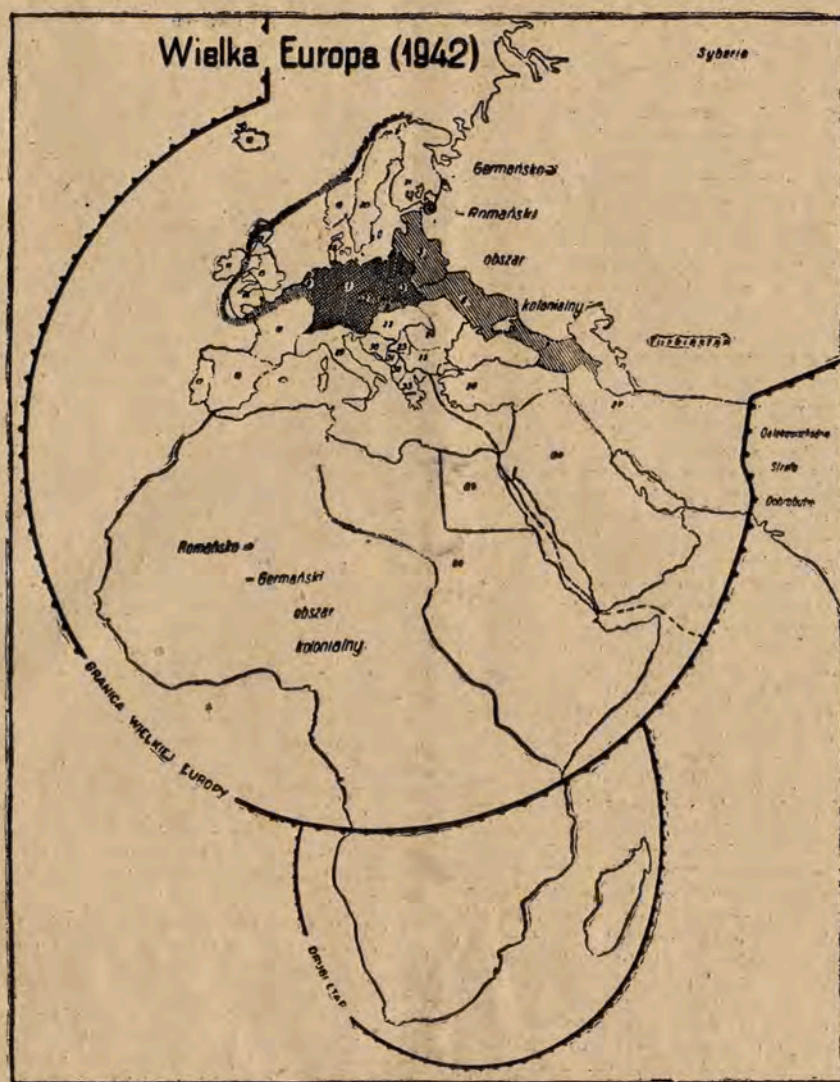
Uzgodnienie poczynań z państwami zachodnimi stawało się coraz trudniejsze, jakkolwiek te ani na chwilę nie rezygnowały z prób porozumienia. Wobec zmiany w wzajemnym układzie sił starały się zyskać nowe atuty w rozgrywce z Hitlerem. Tak więc w r. 1939 starały się go zaszachować podjęciem pozorowanych rokowań o porozumienie ze Związkiem Radzieckim (przy czym w istocie chodziło tylko o pozory rokowań, a nie o szczere porozumienie i współdziałanie z ZSRR!) i gwarancjami udzielonymi Polsce. Jedno i drugie traktowane było jako posunięcia na szachownicy. W istocie nie chodziło ani o prawdziwe porozumienie i rzetelną współpracę z ZSRR, ani też o ratowanie Polski przed zagładą. Wystarczy zaznaczyć, iż równocześnie koła anglosaskie nie szczędziły wysiłków celem nakłonienia Hitlera jeszcze w ostatnim momencie do „rozsądnej” wymiany zdań. Gra była nadto przejrzysta, aby mogła być skuteczna. Skończyła się tedy dla imperialistów zachodnich kompletnym fiaskiem: we wrześniu 1939 r. stanęli w obliczu wojny z Hitlerem.

Wyniki drugiej wojny światowej nie zadowolili imperialistów anglosaskich. Związek Radziecki nie tylko zdołał odepchnąć całą furję agresji hitlerowskiej, ale w końcu zadał cios ostateczny hitleryzmowi w jego własnym gnieździe. Ustrój socjalistyczny zdał doskonale egzamin swej trwałości i siłowności. ZSRR wyszedł z wojny jeszcze potężniejszy niż był przedtem. Wyzwolone orężem radzieckim spod jarzma hitlerowskiego narody europejskie wyzwoliły się zrazem z pięćdziesięciu lat niewoli kapitalistycznej. Wśród mas ludowych na całym świecie wzrósł podziw i uznanie dla ZSRR, w którym teraz widziano słuszną główną ostoję postępu, wolności, pokoju. Wśród narodów kolonialnych rozwinął się silny ruch wyzwoleniowy, zapowiadający rychły zmierzch władztwa imperialistów. Rzeczywistość powojenna zaczęła kształtować się o wiele inaczej niż to sobie planowali imperialiści zachodni, szczególnie amerykańscy, którzy marzyli o panowaniu nad światem. To miał być „pokój amerykański” (pax americana). Tymczasem zaś ludzkość coraz silniej akcentuje pragnienie pokoju prawdziwego, pokoju wolnych narodów i wolnych ludzi. Rzecz prosta, że imperialiści zachodni nie życzą sobie takiego pokoju, co więcej, że go się panicznie boją, gdyż przeczuwają ostateczne bankructwo kapitalizmu. W rezultacie wracają do swych dawnych planów antyradykalnych (których zresztą nigdy nie zarzucili), antydemokratycznych, skierowanych przeciw pokojowi. Podążają do nowej wojny. Oczywiście, przysyłając swe prawdziwe cele fałszywymi hasłami obrony demokracji i pokoju.

Stara to śpiewka, ale coraz mniejszy zastęp wdzięcznych słuchaczy. Straszne doświadczenia ludzkości nie poszły na marne. Rośnie zrozumienie, kto jest prawdziwym i kto fałszywym obrońcą pokoju. Niemała rolę odgrywały w tym takie publikacje, jak książka Jouvelela, która na podstawie obfitego materiału dowodowego pomaga ustalić istotnych autorów „błędów” okresu międzywojennego i zarazem sprawców drugiej wojny światowej: ośrodki dyspozycyjne wielkokapitalistyczne.

W konkluzji końcowej Jouvelel pisze: „Świat będzie miał pokój dopiero wówczas, kiedy demokracja, prawdziwa, a nie ta na usługach kapitalizmu, zostanie trwale zaprowadzona we wszystkich krajach”. Nie zamyka oczu na fakt, że imperialiści, podlegając wojenni, posiadają jeszcze niemałe środki w ręku. Dlatego też podkreśla konieczność wspólnej akcji wszystkich prawdziwie demokratycznych czynników na świecie, „które mają wstręt do wojny i te przewagę, że nie upatrują w niej żadnego dla siebie interesu”. Tylko na tej drodze można ostatecznie uchronić świat od wojny i zapewnić ludzkości trwały pokój.

Kazimierz Piwarski



Plany imperialistyczne hitlerowskich Niemiec: granice „Wielkiej Europy”, „Romański-germański” obszarów kolonialnych, oraz „Daleko-wschodni” Strefy Dobrobytu

w orbicie wpływów wielkich mocarstw i ulegały różnym, wzajemnie krzyżującym się inspiracjom. W rezultacie w ciągu całego okresu międzywojennego zbierało się coraz więcej materiału zapalnego, grożącego lada chwila wybuchem. Tu i ówdzie dochodziło już do mniejszych, lokalnych eksplozji. Czyż można było w tych warunkach zażegnać wielką katastrofę? Niewątpliwie tak — odpowiada Jouvelel — gdyby nie zasadnicze sprzeczności, wynikłe z samej istoty imperializmu. Tak np. jednym z zasadniczych warunków zabezpieczenia i utrwalenia pokoju byłoby powszechne rozbrojenie. Ale problem ten był nie do rozwiązania wobec braku dobrej woli w kółach rządzących w państwach kapitalistycznych. Każde z państw miało swoje „słuszne powody” utrzymywania pogotowia zbrojnego: rozbrojenie i oswobodzenie, ale żadne państwo nie chciało zaczynać od siebie, czekało — na sąsiada, podejrzewając stałe z jego strony intrygę czy podstęp. W atmosferze wzajemnej nieufności, przesyconej tendencjami zaborczymi, względnie odwetowymi nie było mowy o rzetelnym podejściu do kwestii powszechnego rozbrojenia. Wiadomo zresztą, że wszystkie tego rodzaju projekty były torpedowane przez „fabrykantów śmierci”, tj. przez koła kierownicze trustów i karteli przemysłu zbrojeniowego. Cóż można było temu przeciwstawić? Należało by chyba w pierwszym rzędzie wyrwać śmiertelną broń z ręki spekulantów, inkasujących rosnące zyski kosztem krwi i też milionów ludzi: a więc upaństwić owe gałęzie przemysłu. To jednak było niemożliwe w ustroju kapitalistycznym. Błędne koło, z którego jedni nie chcieli, a inni nie umieli znaleźć wyjścia.

Zasada powszechnego rozbrojenia została pogrzebana. Nieuchronnym tego następstwem był nawrót do wyścigu zbrojeń. Zdecydowanie wkroczyły na tę drogę państwa, przygotowujące nowe agresje: Japonia, Niemcy hitlerowskie, Włochy faszystowskie. W tempie przyspieszonym powiększyły swój potencjał wojenny, co znowuż było możliwe dzięki dotądniej pomocy kapitału międzynarodowego. Jouvelel przytacza znane zresztą fakty finansowania zbrojeń niemieckich przez kapitał anglosaski i francuski, które w ten sposób kuliły oręż także i przeciwko własnym państwom: znowu te sprzeczności imperializmu! Po przygotowaniu nastąpiły fakty agresji. Czyż można było się im przeciwstawić? Oczywiście, pisze Jouvelel, ale tylko pod warunkiem zorganizowania zbiorowego bezpieczeństwa, choćby w ramach Ligi Narodów, względnie poza jej ramami. W odpowiednim momencie można było poskromić agresorów choćby tylko pełnym i wyważym zastoso-

go rozdzielenia sfer wpływów. Trudno przypuszczać, aby w kółach kierowniczych państw zachodnich ludzono się, że takie porozumienie może być trwałe. Na razie uważano je za środek na nader potrzebne dla realizacji jednego celu: zabezpieczenia bezpośrednich interesów mocarstw zachodnich i skierowania ekspansji japońskiej czy hitlerowskiej przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Szerząc obłudne hasła „ratowania pokoju”, zdradzali imperialiści zachodni w istocie sprawę pokoju i przygotowywali rozpętanie nowej wojny. W konflikcie zasadniczym między faszystwem i socjalizmem zajęli pozycję po stronie faszystw, widząc w nim przydatne narzędzie dla uratowania bankrutującego kapitalizmu. Zapewne, metody działania faszystowskie nie zawsze były dość strasne dla polityków zachodnich, którzy swe posunięcia nawet skrajnie imperialistyczne chętnie garnirowali frazesami pseudodemokratycznymi czy pseudohumanitarnymi. Nie ulega kwestii, że nieraz zrywali się na dyktatorów, z którymi rozmowy bywały bardzo trudne. Równocześnie jednak bynajmniej nie zczyli sobie upadku reżimów faszystowskich, obawiając się nieuchronnych w takim wypadku wstrząsów społecznych, rewolucji. Stąd też podtrzymywali w istocie reżimy faszystowskie: tak należy rozumieć politykę imperialistów zachodnich wobec Mussoliniego w dobie konfliktu abisyńskiego czy też wobec Hitlera w dobie konfliktu sudeckiego. Łatwo tedy zrozumieć, dlaczego torpedowali sprawę zorganizowania zbiorowego bezpieczeństwa i odrzucali projekty Związku Radzieckiego zmontowania choćby w ostatniej chwili wspólnego frontu przeciw agresorom. Imperialiści zachodni uważali przecież za niedopuszczalne wmięszanie się w konflikt wojenny przy boku Związku Radzieckiego. Ryzyko było zbyt wielkie — z punktu widzenia „wyszych interesów” świata kapitalistycznego. Same zresztą założenia ich polityki były zupełnie inne: chodziło właśnie o posłużenie się hitleryzmem jako narzędziem do obalenia ZSRR. W świetle tych uwag zupełnie jasne jest postępowanie mocarstw zachodnich w dobie Monachium (1938): celem ich była izolacja ZSRR i wyeliminowanie go ze spraw europejskich, zrazem zaś „zaspokojenie” Hitlera i skierowanie jego ekspansji zaborczej na Wschód. Z kart książki Jouvelela wnioski takie narzucają się nieodparcie. Dodać należy, iż autor nie dysponował jeszcze publikacją Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR „Dokumenty i materiały do genezy drugiej wojny światowej”, której materiały (zaczęnięte przeważnie z archiwum Ministr. S. Z.) odsłaniają

¹⁾ W czasie drugiej wojny światowej G. Péri, wybitny uczestnik Ruchu Oporu, został wydany przez policję reżimu Vichy w ręce gestapo i zamordowany przez hitlerowskich oprawców.

Maria Janion

POWIEŚĆ O POWSTANIU CHŁOPSKIM^{*)}

(„HRYHOR SERDECZNY” T. T. JEŻA)

Wiosną 1855 r. wybuchł na obszarach środkowej Kijowszczyzny bunt chłopski, jeden z poważniejszych dziełnastowiecznych ruchów społecznych wsi ukraińskiej. W polskich relacjach naucecznych świadków nosił miano „powstania ludowego na Ukrainie”. W historii grafii ukraińskiej przyjęła się dlań nazwa „kozaczyny kijowskiej 1855 roku”. Bunt objął osiem powiatów, połowę rozległej gubernii kijowskiej. Były to czasy wojny krymskiej, która zachwiała potęgą absolutystycznego państwa carów. Kryzys polityczny pobudzał nadzieje zrewolucjonizowanego chłopstwa, ośmielał do zdecydowanych wystąpień.

Opinia europejska żywo interesowała się przebiegiem powstania chłopskiego, przywiązując do niego ogromne znaczenie i spodziewając się nieobliczalnych następstw dla losów wojny krymskiej. Bunt mógł się przyczynić do klęski Rosji, stwarzając nieoczekiwane ognisko ruchu rewolucyjnego na tyłach armii. Szczególnie emigracja polska, dla której sprawa Ukrainy stanowiła jedno z najważniejszych zagadnień polityki narodowej, nadśledziła bacznie wieści o postępach antyrosyjskich wystąpień chłopskich. Powstanie chłopskie jednak nie miało poważniejszych konsekwencji politycznych i zawiadło nadzieje emigracyjnych speców od „wielkiej polityki”.

Tem powstania Ukrainy były ciągnące się od r. 1847 zatargi między wsią a dworem o tzw. „prawdę inwentarną”. Były to przepisy rządowe regulujące stosunki pańszczyźniane. Pisane zawiłym językiem biurokratycznym, dawały szerokie pole do popisu zręczności szlacheckich interpretatorów. W rezultacie niejednokrotnie pogarszały położenie chłopów, co zwiększało napięcie sytuacji społecznej Ukrainy. Masy chłopskie ogarnęły wzbурzenie, charakteryzujące okresy poprzedzające uwłaszczenie. Wioskach wrzało. Sytuacja dążyła do buntu.

„Kozaczyna kijowska” — ruch o szerokim zasięgu i olbrzymiej dynamice rewolucyjnej — była żywiołowym powstaniem chłopskim, pozbawionym kierownictwa dojrzałych rewolucyjnie przywódców. Śledztwa urzędniczych carskich potwierdziły relację współczesnych: „...ani obywateli ukraińskich, ani emisariusze nie podburzali ludu”. Ten żywiołowy ruch chłopski charakteryzowała jednak pewna niedojrzałość świadomości klasowej. Powstanie skierowane było niemal wyłącznie przeciw oficjalnym obrońcom systemu klasowej przemocy, przeciw nosicielom władzy państwowej w polu widzenia chłopów: sprawnikom, przystawom, popom, przeciw wojsku, krwawo tłumacemu powstanie. Ukraińscy chłopcy nie palili dworów polskich, a do „lepszych panów” zwracali się z prośbą o radę czy nawet o kierownictwo w walce. Antyrosyjskie wystąpienia panów polskich, zagmatwana sytuacja społeczna Ukrainy, gdzie istniała narodowa wrogość między szlachtą a systemem, będącym naturalnym obrońcą jej interesów klasowych, zaciemniły ocenę położenia niewyrobionym przywódcą mas chłopskich. Nie dostrzegli, w czym interesie funkcjonuje system nahałki i katorgi. Zastakowali najłatwiej uchwytne, najdotkliwiej gniołące ognio klasowego wyzysku, nie zdając sobie sprawy, że jest to ogień służebny. Ograniczony kierunek ataku chłopskich buntowników zmieścił się na wynikach walki. Nie zaciemnił jednak chłopstwu ostatecznych celów powstania. U źródeł jego leżały tendencje antyfeudalne i antyszlacheckie. Masy chłopskie, które przemocą wdary się na widownię historyczną, sformułowały przejrzyście swoje żądania. Szóstotysięczna gromada korsuńska rozważała podstawy postulowanego ustroju: „1) Czy lud ma odtąd zostać wolnym? Uchwalono: Ma zostać wolnym i nazywać się Kozakami. 2) Czy ziemia jak dziś w części należeć będzie do obywatela a w części do właściciela? Uchwalono: Ziemia jest własnością ludu, więc weźmie jej sobie każdy tyle, ile mu trzeba a resztę obywatel 3) Czy przy obecnym stanie rzeczy należy siać zboże i sadzić buraki? Uchwalono: Zboże siać, bo to dar Boży, święty i potrzebny, a buraków nie sadzić, bo to niemiecki wymysł i głodu bez nich nie będzie”. Uchwały gromady korsuńskiej tchną patosem wielkiego ruchu dziełowego. Lud własne rozumienie sprawiedliwości i słuszości czyni podstawą prawa. Optyzmizm młodej sily historycznej bije ze świętej wiary w prawdziwość sformułowań gromady, w zwycięstwo sprawiedliwości w dostojnej szacie wystąpił naiwny protest przeciw kapitalistycznym już formom wyzysku — w uchwale, potępiającej sadzenie buraków. Dworskie plantacje buraczane stanowiły bowiem pierwszy etap przemysłowego rozwoju Ukrainy. Gromada formułuje: zboże to dar Boży, buraki — niemiecki wymysł.

W myśli sprawiedliwego prawa gromady chłopcy realizują uchwały z godnością i powagą apostołów świętej wiary. Spokojnie wymawiają dziedzicom pańszczyznę; zarządzają gromad zobowiązując do nietykania osoby ani własności żadnego obywatela, 8 powiatów środkowej Kijowszczyzny kształtowało nowy porządek społeczny. Nie zemsta i nie-nawieść klasowa, lecz godna obrona słusznego prawa cechują wszystkie posunięcia gromad.

*) Patrz M. Janion: Powieść o chłopskim buntowniku. „Wiś” nr 16-17, 49 r.

Ideologię postępowych dążeń społecznych sformułowali chłopcy w języku minionej ukraińskiej „kozaczyny”. Jej prawa i formy organizacyjne stały się wzorem wielu ruchów zbuntowanego chłopstwa. Tradycje kozaczyny żyły dziwnie zniekształconym echem w ciągu dziesiątków lat wśród niespokojnych wiosek ukraińskich. Leżały także u źródeł ludowego powstania 1855 roku. Z gadek o Białym Harabie, złotej hramocie i lejeście, zamkniętych w skrzyni o siedmiu zamkach, wyłaniał się jeden nieodwołalny wniosek praktyczny: przyjdzie czas, gdy każdy, co się w Kozaki zapisze, będzie wolny, hramota, złotymi literami pisana, wyznaczy ów szczęśliwy dzień i miejsce, gdzie odbędzie się rejestracja wszystkich chłopów, pragnących odzyskać wolność. Oto „legenda aurea” chłopów ukraińskich, odziedziczona po „wolnych kozakach”. W r. 1855 ładunek rewolucyjnej tej legendy wystąpił z całą siłą. Na dziwnych drogach jednak osiągnęli chłopcy wiedzę o właściwym momencie rejestracji do szeregów wolnych obywateli.

W trzecim roku wojny krymskiej car wydał manifest — poparty pismem synodu — odwołujący się do patriotyzmu mieszkańców Wschodniej i wzywający do obrony ojczyzny i wiary. Odezwy cara i cerkwi napisane były mgliście i niejasno. Odczytane przez popów bez komentarzy wzbudziły wśród chłopów Kijowszczyzny nieczym nieoparte przekonanie, że car zapowiada czas zapisywania się w „wolne kozaki”. Rewolucyjna idea wolności od pańszczyzny znalazła idealną pożywkę w moralistycznych ogólnikach urzędowego stylu. Chłopi z niecierpliwości zaczęli oczekiwać upragnionych komisji rządowych, przeprowadzających rejestrację. Gdy komisje się nie ukazywały, chłopcy powzięli przekonanie, że ich oszukano i postanowili działać na własną rękę. Niewyrobieni ideologicznie, pozbawieni świadomości przywódców, obracający się w kręgu fantastycznych domysłów i bajek, wierzyli w dobrą wolę cara, który nie wie „całej prawdy”. Nie watpił, że ukaz uwalniający został wydany. Przyszli więc do wniosku, że — wg. relacji naucecznych świadka — „ukazowi o ich uwolnieniu skreślono łeb za pieniądze obywateli, których prostym interesem jest mieć ich jako poddanych”. Sterroryzowani popi potwierdzili istnienie urojonego ukazu. Ceremoniał odbierania kozaczęj przysięgi i zapisywania w „lejeście” gwarantował w oczach chłopów prawomocność nowego ładu.

Wobec zasięgu rozruchów władze rosyjskie skierowały znaczne sily wojskowe na zbuntowane powiaty w celu przeprowadzenia „pacyfikacji”. Drakońskie represje dotknęły wszystkie wioski zrewolucjonizowanego okręgu. Przez dwa miesiące sieczono kolejno różnymi buntownikami. „Nie było wsi bez bohatera meczetawca” — notuje współczesny obserwator. Opinia chłopstwa niedojrzałość ruchu przełożyła na język swej miłośniczno-religijnej idei sprawiedliwości: „Cierpmy, bo wiadać nie jesteśmy jeszcze godni łaski Bożej”. Towarzyszyła temu pełna aproba własnego wystąpienia. Katowani chłopcy na pełne pogroźki pytanie, czy ośmiela się jeszcze buntować, odpowiadali twierdząco.

Krwawa pacyfikacja Ukrainy nie podważała patriarchalnej wiary w boskie i carskie zmłownienie. Wymuszone buntami i rozstrojem gospodarczym kraju objawiło się wreszcie chłopom w postaci oszukawczej reformy agrarnej 1861 roku.

Kluczowe znaczenie, jakie dla antyrosyjskiej polityki demokratycznej emigracji polskiej mogło mieć ukraińskie powstanie chłopskie, sprawiło, że moment ten poddany został dokładnej analizie z punktu widzenia taktyki politycznej przez Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) w rozprawie p. t. „Udział Polaków w wojnie wschodniej (1853—56)”. Jeż wyraża tu stanowisko Towarzystwa Demokratycznego, które upatrywało w powstaniu chłopów duże szanse dla polskiej dywersji w wojnie wschodniej. Stał ostre zarzuty Jeża pod adresem Sadyka-Paszy (Michała Czajkowskiego), dowódcy Kozaków walczących u boku Turcji, który zaniedbał wesprzeć powstanie chłopskie sily wojskowymi. Konfiguracja polityczna, doniosłość zmobilizowania szlachty ukraińskiej narzucały Jeżowi zmyślną interpretację ruchu ukraińskiego. Wyzyskując fakt pojedynczości i łagodności chłopów wobec dworów wysunął następującą koncepcję taktyczną: „Trzebaż więc było stanąć pomiędzy nimi i powiedzieć im, że powodem buntu ich jest: **żarzo polityczne**”. Niedojrzałym formom walki społecznej narzucił Jeż fałszywy kostium walki wyłącznie narodowej. Antyrosyjskie akcenty powstania pozwoliły sformułować jasny program działania: „Trzeba było znać Prutu przetrwać Kozaków za Dniestr i, zgnąć nośród chłopów ruskich...”. Znamienne, że Miłkowski — długoletni propagator idei uwłaszczenia — w cytowanej argumentacji nawet nie wspomina o tym, że, aby „zanewnić przysięzemu powstaniu narodowemu kilkanaście milionów ludzi”, trzeba było buntowi chłopskiemu nadać nie tylko „barwę polityczną”, ale przede wszystkim ogłosić uwłaszczenie. Solidarystyczne koncepcje burżuazyjno-szlacheckiego skrzydła demokratycznej emigracji przesłoniły rzeczywistość socjalną.

Towarzystwo Demokratyczne dążyło do stworzenia narodowego państwa burżuazyjnego. Rewolucja burżuazyjno-demokratyczna w Polsce mogła się dokonać tylko na fall walki chłopów o zniesienie pańszczyzny. Marks i Engels niejednokrotnie podkreślali historyczną postępowość tych dążeń, jak

i wyjątkowo rewolucyjne znaczenie „sprawy polskiej”, podkopującej fundamenty reakcyjnego Świętego Przymierza.

Narodowy interes prawego skrzydła demokratycznej emigracji narzucał z góry ograniczenia postępowym dążnościom antyfeudalnym. Zmuszał do stawiania na solidarystyczny kompromis dworu i wsi. Jeż, reprezentant burżuazyjno-szlacheckiego skrzydła demokratycznego obozu emigracji, w myśl tych koncepcji zinterpretował powstanie ukraińskie. Pomysł wykorzystania „kozaczyny kijowskiej” dla narodowej sprawy polskiej, wyłożone w „Udziale Polaków w wojnie wschodniej”, noszą na sobie rysę ideologiczną, powodując zafalszowanie w obrazie historycznym. Jeż zapożnawał społeczne oblicze powstania, jego wewnętrznie antypolski, bo antyobszarniczy charakter. Działający tu także tradycje szlacheckich feudalnych dążeń terytorialnych, przekonanie o konieczności „zadocuczynienia” powołaniu Polski na zewnątrz, jak pisał Jeż w r. 1861 w recenzji dzieła Kostomarowa o Bohdanie Chmielnickim. Pogląd na ludowe powstanie ukraińskie reprezentowany przez Jeża w latach 50-tych pełen był ideologicznych sprzeczności i niekonsekwencji.

W r. 1874 ukazała się powieść T. T. Jeża p. t. „Hryhor Serdeczny”, tematycznie związana z powstaniem ukraińskim r. 1855. Pod względem programowym była to powieściowa ilustracja politycznych tez Jeża z r. 1858. Jej źródło fabularne stanowi opis powstania ukraińskiego pióra Zenona Fisa (opis ten w formie anonimowego przypisu naucecznego świadka dołączono do „Udziału Polaków w wojnie wschodniej”). Jeż nie wszystkie fakty wykorzystał w swojej powieści; powstaniu nadał interpretację nieco odmienną. Jednak — zarówno historyczna relacja Fisa, jak i powieściowe informacje Jeża ukazują „kozaczynę kijowską” jako „powstanie przeciw Moskalowi”. Ten wspólny rys interpretacji pozostaje w ścisłym związku z koncepcją wykorzystania ruchu chłopskiego Ukrainy dla narodowych celów polskich.

Po liniach tych interesów klasowych idą liczne w powieści odstępstwa od rzeczywistego obrazu powstania ludowego. Zlekceważone zostało niemal całkowicie istnienie ostrych zatargów między dworem a wsią na tle sprawy „prawdy inwentarnych”. Odrywanie kozaczyny od jej zaplecza — antyszlacheckich rozruchów chłopskich, ciągnących się niemal od dziesięciu lat, stwarza fałszywe sugestie historyczne. W powieści występują pogłoski o sztykającej się rzezi panów. Jeż czyni je jednak wymysłem biurokracji rosyjskiej, zainteresowanej w skłóceniu chłopów z dworem. Anegdotyczna matywjacja kozaczyny (chłopi nie pojęli zawiłych słów manifestu carskiego) uderza naiwnością. Nie dziwnego, że w interpretacji Fisa urzędnicy carscy traktują tę malowniczą legendę z dużym sceptycyzmem. Tylko bowiem dokładne rozpatrzenie sprzeczności interesów klasowych dworu i wsi pozwolił może na wykrycie właściwych przyczyn powstania ludowego na Ukrainie. Zacieranie tych sprzeczności dla celów narodowych pozwala powieściopisarzowi podkreślać jedność „rodziny szlachecko-chłopskiej” wobec narzuconych władz rosyjskich: „... w sobie zaś tak ci, jak ci czuli wężły pokrewne, które czyniły z nich rodzinę jedną wielką, pozostającą pod opieką, dozorem i nauką stanowych przystawów, sprawników i gubernatorów”.

Solidarystyczna stylizacja przeprowadza Jeż konsekwentnie. Nawet chłopcy w omawianej powieści myślą o braterstwie ze szlachtą, życzą dziedzicowi panowania „po wiek wieków” i stwierdzają, że plotki o rzezi panów puszczają w obieg „wrogi nasi i wasi”. Tytułowa postać powieści — Hryhor Serdeczny — ukształtowana została na miarę bohatera ludomańskich powieści lat 40-tych i 50-tych. Bogały chłop, odrabiał pańszczyznę sily miłoty, jest klasycznym wzorem piękna i dostojństwa rasy chłopskiej, wcieleniem poetycznej idei romantycznej „ludowości”. Hryhor reprezentuje w powieści ideologię świadomej antymoskiewskiej, oparta na idei narodowej, przyjaźni Polse, nieubłaganej wrogi zabroczności rosyjskiej. Do urzędnika carskiego prowadzącego śledztwo mówi: „Zjesz moje ciało, ale duszy mojej nie ugrzyczysz... Ja naród!”

Srodowisko szlacheckie reprezentują w powieści trzech przedstawicieli rodu Zborzeskich: Jan, Marcin i Michał. Jeż przypisuje duży wagę stopniowaniu postępowości tych reprezentantów na szlacheckim odłamu swej klasy. Jan Zborzeski, tzw. „dobry pan” przesuwając załatwienie spraw uwłaszczenia na porządek dzienny Seimu Wolnej Polski. Porządek mu to na stoicką obserwację sytuacji rewolucyjnej, zwalnia z konieczności angażowania się w niej po którekolwiek stronie. Jego brat Marcin Zborzeski, w konspiracji przed rządem rosyjskim wprowadza do swego majątku system czynszowy. Traktuje to jako dobrodziejstwo dla chłopów. Jednak do chody jego powieksza się w dwóch osobach. Jeż nie zaniedbał przytoczyć tego argumentu liberalnej szlachty ukraińskiej, wrogię zachowawczym, przestarzałym formom produkcji rolnej, nieopracowanym metodom gospodarki pańszczyźnianej. Małatek Marcina Zborzeskiego stylizuje Jeż niemal na dobrego Pana Podstolego. Gospodarz twierdzi: „Potrzeba tylko, ażebyśmy się z chłopami porozumieli i za ręce z nimi wzięli”. To poróż utonionych projektów spółki rolnej panów i chłopów z „Historii o pra... pra... prawniku i pra...

pra... pradziadku”. Spółka taka mogła powstać tylko na zasadzie negacji sprzeczności interesów dworu i wsi. Tych dwóch przedstawicieli jakże skromnych tendencji postępowych dopełnia trzeci — młody Michał Zborzeski, wyznawca idei organicznej jedności sprawy narodowej i wyzwolenia społecznego. Michał widzi jasno, że do walki narodowo-wyzwoleńczej popchnąć może chłopów tylko zniesienie pańszczyzny, a więc obrona własnych praw, gwarantowanych przez istnienie Polski. On jeden także — niestety za późno — decyduje się objąć dowództwo wojskowe nad antyrosyjskim ruchem chłopskim. Michał uczynił Jeż reprezentantem solidarystycznego programu umiarkowanego odłamu emigracji polskiej.

Wobec obozu konserwy ziemiańskiej znajduje Jeż stanowisko nieprzejednane. Egoizm klasowy, tłumący obowiązki narodowy, jest podstawą ciężkich oskarżeń.

Sytuację szlachty na Ukrainie trafnie streszcza komentarz Jeża, formułujący wewnętrzne sprzeczności patriotyzmu szlacheckiego: „Widzieliśmy szlachtę garnącą się pod skrzydła opieki moskiewskiej; widzieliśmy ją w pogotowiu sztyfowania szwadronów dla pana Jana”. Interes klasowy jednak w obydwo wypadkach nie pozwala lekceważyć niebezpieczeństwa zburzonego chłopstwa. Jeż ukazał w swojej powieści potęgę ruchu ludowego.

Ludomańska powieść lat 40-tych i 50-tych krytykę społeczną przeprowadzała w moralistycznych kategoriach obrony chłopskiego człowieczeństwa. Niejednokrotnie kontrastowanie płytkości i zepsucia przedstawicieli warstw uprzywilejowanych z dostojstwem wewnętrznym chłopów stanowiło oś kompozycyjną utworu. Idea wyższości moralnej ludu ukształtowała pierwszą powieść Jeża p. t. „Wasył Holub”. W ramach tej koncepcji dokonuje się w „Hryhorze Serdecznym” kontrastowanie dostojnego środowiska chłopskiego i zsiółwie skawkaturowanej grupy przedzielną szlachty. Monumentalny patos ruchu masowego zestawiono z małoduszną przeciećnością, tełrozostem ziemiaństwa, drzącego w hotelikach małomiasteczkowych przed groźnym gniewem ludu.

„Hryhor Serdeczny”, choć pisany w latach 70-tych, korzeniami tkwi w konwencjach ludomańskiej powieści pierwszej połowy XIX wieku. Problematykę społeczną sprowadza do zagadnienia „złego” czy „dobrego” pana. Nie brakuje w powieści idealnego dworu, wzorowanego na pomysłach ludomańskich reformistycznych propagatorów patriarchalnego stosunku między dworem a wsią pańszczyźnianą. Miłość szlachećnego panica i wiejskiej dziewczyny, tradycyjny watek powieści sentymentalnej, występuje także i w „Hryhorze Serdecznym”, choć nie daje podstawy do dramatycznego konfliktu. Naiwne gawędziarstwo powieści, z wszystkimi typowymi zabiegami, wprowadza w atmosferę wczesnej powieści polskiej o tematyce chłopskiej.

Istotne związki z konwencjami tej powieści pozostają w ścisłej zależności z ideologiczną koncepcją utworu, z jego obiektywną funkcją społeczną w latach 70-tych.

Cel „Hryhora Serdecznego” formułuje Jeż przejrzyście w pierwszym rozdziale. Pragnie utrwalić obraz Ukrainy sprzed lat 20-tych: „Zamierzam moim powieściowym jest wspomnieć nie to wskrzesić, wywołać je na jaw i ukazać Ukrainę w taju jej bytowania duszowego”. Funkcja piewcy powstania ludowego sprowadza się do odsłonięcia tajników „duszy narodu”.

Polska powieść pierwszej połowy XIX wieku podjęła romantyczną koncepcję idei narodu, która najpełniej przejawia się w ludzie. Jeż w ukraińskim buncie chłopskim dostrzegł także objawienie „prawdziwej istoty” chłopca, narodowej idei Ukrainy i jej sojuszu z polskością.

Fakt, że w „Hryhorze Serdecznym” chłop, a więc według omówionych koncepcji właściwy nosiciel ducha narodowego, formułuje idee nienawieści do Rosji i oparcia społecznych dążeń Ukrainy o walkę niepodległościową Polski, tłumaczy sytuację społeczno-narodową tej innej „nowej Ukrainy” z lat 70-tych, „Ukrainy po 20 latach”. Późniejszy w dużej mierze rusofilski i antypolski ruch narodowy ukraiński, przenikać już zaczął w latach 70-tych do szerszych mas ludowych; ruch miał ciągle jeszcze wybitnie inteligentnie zabarwienie.

Jeż, ewokując prawdziwą starą Ukrainę „w taju jej bytowania duszowego”, przeciwstawiał — jego zdaniem — prawdziwą ludową, propolską ideę narodu fałszywym koncepcjom narodowym współczesnej Ukrainy. Obraz buntu ludowego wprężony więc został w służbę koncepcjom solidarystycznym i nacjonalistycznym.

Powieść regulowana prawami ograniczonej szlachecko-burżuazyjnej postępowości, pełna fałszów i niekonsekwencji ideologicznych, zajmuje jednak miejsce wyjątkowe w dziełach naszej powieści społecznej. Książka przekazuje obraz masowego ruchu ludowego, tchnący rewolucyjnym natosem i dostojstwem walki o sprawiedliwość.

Kontrast między wielkością ludu a małodusznością szlachty wynika nie tylko z krytyki moralistycznej, z idealistycznej koncepcji „świętości” chłopca. Obrazuje on potęgę nowej sily historycznej, przy której zmierzcha i kurczy się racja starego świata.

Z POEZJI BUŁGARSKIEJ

Christo Smirnenski (1898–1923)

W BURZY
PRIEZ BURIATA

Doczekam święta braci mych, gdy w słońcu
rozmachem skrzydeł się poderwę dzielnych,
gdy los nareszcie na czołach tysięcy
nakreśli swojej woli znak śmiertelny,
a burzy dech gromami ich przyzowie:
„Wstańcie i idźcie, wy buntu synowie!”

I w zmierzchu ciężkiej goryczy i kaźni,
gdy kraj wiecznego trudu kona w huk,
błyśnie zarannej gwiazdy promyk jasny...
Z zgarbionych, ciemnych chat po błotnym bruku
huf bezimiennych runie w tę pozołę,
na stronę, świętą Spartakusa drogę!

I ujrzę wtedy nieznane i wielkie
te tłumy, których jęk mnie truił do wczoraj,
one, u których wrót śni wieczna męka
i bładolicej nędzy dybie poród,
a w ciemnych, potrzaskanych szyb okruchy
śmierć trąca swym lodowym skrzydłem głucho.

Zobaczę podzwig rabów triumfalny
i grzmot usłyszę gniewny, który wstrząśnie
te targi pogrążone w śnie fatalnym,
gdzie łun czerwonych się zatoczą płasy.
I wstanie ciemiony ród człowieka
i zrzuci z pleców nędzne jarzmo wieków.

Ja, cichy, błady wśród nędznych mych braci
poniosę czarny tego krzyża pień!
O, niechaj krwawy palec tu nazaczy
na piersi mej ostatni w boju dzień!
Niech Kain czoło mi armatnim grzmotem
rozorze i sen ziemi ciśnie w błoto!

A ty, o towarzyszo, ty miłosna,
idź śmiało, uroczysta i pełna zachwyty
ku słońcu owych dni skąpanych w wiośnie...
Pozwól mi ucałować brzeg twych szat z błękitu
i niechaj pierwszy świt naszego święta
znacza dymiącej krwi szkarłatne piętna!

Z bułgarskiego przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

Cwetan Spasow (1919–1944)

RYMY

Ja surowe, ciężkie kocham rymy,
w nich jest tarczy, w nich jest młotów szcęk,
niby hasła z zakazanych wieców,
w nich się burzy bunt młody wiek.

Bo te rymy krążą mi po żyłach
gorejącym dłem ryjąc znów
na dnie serca objawione znaki
najkocharniejszych, najzuchwalszych słów.

I w ten dzień, gdy wiersz jest ciemiony,
czuję w rymach jego skryty zew,
którym szumi, kipi i wybucha
rozpętany poetycki gniew.

Rymy muszą się z kłamstwem szamotać,
rodzi je bitewny huk i ścisk,
one pachną żelazem i potem,
one płoną niby iskrów błysk.

Gromko tętnią jak końskie kopyta
w wielkim locie przez kamienny bruk,
wymoszczony głowami zabitych,
gdy je koszą kolby i salw huk.

Ja surowe, ciężkie kocham rymy,
w nich jest tarczy, w nich jest młotów szcęk,
niby hasła z zakazanych wieców
w nich się burzy bunt młody wiek.

Z bułgarskiego przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

Jordan Stubeł (ur. 1897)

MACEDOŃSKA PIEŚŃ
MAKEDONSKA PISEN

Biała róża kwitła miło
i gwiazdeczka i pięknotka
w noc w kołyskę mi świeciła,
a gdy wschód wrzał pieśnią ptaków,
matka czule mi nuciła
stare baśnie o junakach.

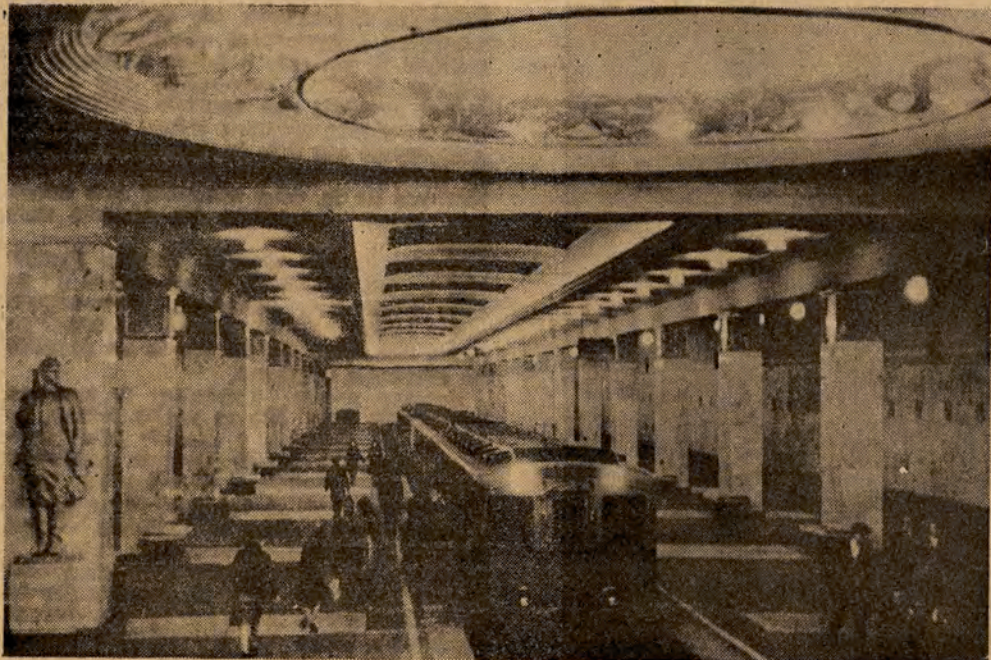
Dzisiaj jeno pustką dyszą
nasze miedze strojne w buki
i kołyski hen kołyszą
matki w ziemi tej cmentarnej,
a po żniwach nucę w ciszy
pieśni stare, pieśni czarne.

Wykarmla ona synów —
siedmiu hardych wyrwidębów.
Burzy szal tej nocy minął...
Pośród lasów, nów bezmiernych
przepaść zionie jak jaskinia —
to mogiła braci wiernych.

Z bułgarskiego przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

Wacław Kubacki

NOWA MOSKWA



Moskwa. Metro



Moskwa. Teatr opery i baletu

Moskwa jest w tej chwili jednym z większych miast na kuli ziemskiej. Jest miastem, które chlubi się najbardziej nowoczesną i najwspanialszą koleją podziemną; które buduje największe i najbardziej nowoczesne zaprojektowane gmachy uniwersytetu; które będzie miało najcudowniejsze parki i bukoliczne osiedla podmiejskie; które jest jednym z większych centrów przemysłowych kraju, jednym z poważniejszych ośrodków naukowych, teatralnych i muzycznych. A wreszcie to jedna ze stolic, gdzie obecnie zbiegają się wszystkie nici polityki światowej.

To jednak jeszcze nie wszystkie tytuły do chwały i chluby! Najbardziej zdumiewającą rzeczą jest to, że trzydzieści lat temu nie było dzisiejszej Moskwy! Mo-

skwa zawdzięcza swój obecny wygląd i stanowisko — PAŹDZIERNIKOWEJ REWOLUCJI. Przedtem było to duże prowincjonalne miasto, administracyjnie zaniedbane, prymitywnie wyposażone w to wszystko, co nazywamy technicznym ułatwieniem życia, nieporządnie rozrzucone, bezplanowo zabudowane, a często gęsto wręcz byle jak skłcone. Nie mówiąc już o przedmieściach, nawet w nowych dzielnicach napotykamy na „zabytki” dawnej, kupiecko-secesyjnej szpetoty. Główną one dosłownie z dnia na dzień, w czasie naszego pobytu widziałem, jak w śródmieściu burzono dla poszerzenia ulicy szereg czynszowych kamienic w stylu przedwojennej ulicy Złotej czy Chmielnej w Warszawie. W następnym trzydziestolecu — na tyle lat naprzód opra-

cowano plany przebudowy i rozbudowy miasta — Moskwa ma być jednym z cudów nowoczesnej urbanistyki.

Nie jestem pewien, czy to się tak łatwo Moskwy udało. Jest bowiem w Związku Radzieckim dużo miast, a każde z nich posiada swój własny, z zasady gigantyczny plan rozbudowy i ambicje, żeby przodować Związkowi, a nawet świecić przykładem całej zniszczonej Europie. Pozналиśmy tych miast niewiele, ale wszędzie, gdzieśmy byli, zapowiadano rzeczy groźne dla innych miast-konkurentów. W środku Azji leżący Nowosybirsk już wybudował sobie operę większą od opery moskiewskiej. W drugim końcu Związku Radzieckiego — w Leningradzie — zapewni- li nas miejscowi patrioci, że metro lenin-

skiego! Wyścig pracy, ostra rywalizacja mózgów i mięśni, jest tutaj hasłem dnia i obowiązuje we wszystkich dziedzinach.

Każdego przybysza musi uderzać w rozmowie z mieszkańcami Moskwy duma nieledwie osobista z rozkwitu, wielkości i urody stolicy. Skutek to niewątpliwie szybkich przeobrażeń prowincjonalnego miasta w metropolię oraz następstwo faktu, że tej przemiany dokonano niebywale, tym, zbiorowym wysiłkiem jednego pokolenia. Jest w tym wdzięk entuzjastycznej, młodzieńczej chępliwości. Ten przejaw racjonalistycznego zapалу, „mierzącego siły na zamiary” przypomina Polakowi „Ode do młodości”. Często myślałem w Moskwie i Leningradzie o Mickiewiczu — w różnych okazjach i z różnych powodów. Nieraz stawał mi przed ocz-



Moskwa. Kreml

Jan Baculewski

Czego szuka lekarz w literaturze?

(czyli słów kilka o inteligencji zawodowej)

W okresie poprzedzającym tydzień oświaty i książki, kiedy rozważaliśmy sposoby upowszechniania kultury i wyboru książek dla emancypujących się mas czytelników, ukazał się czwartym numer „Twórczości”, przynoszący nowe materiały dla rozważań na temat, kto jeszcze jest zapóźniony kulturalnie i kogo należy wdrożyć w sztukę czytania i pisanie.

Paweł Hertz w „Kuźnicy” w „Rozważaniach o książce” zastanawiał się nad rolą tradycji kulturalnej, której treści ideologiczne i artystyczne mają wnieść w budowę nowej kultury klasy społecznej, odciętej do tychczas od jej źródeł. Przy czym stwierdzał, iż tradycje te z czystych źródeł literatury klasycznej i współczesnej literatury walczącej czerpała awangarda uświadomionego proletariatu. Dla historyka bardzo płodne stwierdzenie. Jednakże, dodaje Hertz, nie można tego traktować jako reguły. Albowiem: „Znam wielu ludzi o jasnym i przenikliwym umyśle, którzy np. w sprawach literatury wykazują gustu nieodpowiadającego poziomowi ich świadomości”. Taką formułą objąłby Hertz przede wszystkim wieś, ale i inteligencja mieszczańska się w niej nienajgorzej.

Właśnie zbieram wrażenia z niedzielnej dyskusji na temat filmu i teatru. Los chce, że rozmawiam z lekarzami. Unoszą się z zachwytem nad „Czarnym narcyzem”, wydrwiwają graną w łódzkiej teatrze komedie Lope de Vegi.

Czego szuka lekarz w literaturze — zadaje pytanie lekarzom i jednocześnie znajduje na nie wielostronną odpowiedź. Jest nią przede wszystkim artykuł dr. Wszelakiego w wymienionym numerze „Twórczości”. Artykuł nosi ambitny tytuł: „Stanowisko lekarza w literaturze polskiej”. Dziwię się z początku. Jakto, w literaturze — nie w szpitalu? Wiemy coś niecoś o stanowisku w literaturze Jana Kochanowskiego, który pisał o Doktorze Hiszpanie i Boya — Zelenskiego, który rozwinął akcję świadomego macierzyństwa. Po wymienionym artykule będziemy mogli wzmiankować o stanowisku w literaturze Stanisława Wszelakiego. Wszelako o lekarzu, reprezentancie wiedzy fachowej, prawdą, że pożytecznej, oczywiście że wielkiej, zmiłuj się Boże, że czasem potrzebnej, możemy mówić w zespole wszelakich problemów społecznych w literaturze, jak sprawa chłopstwa i sprawa kobieca. A przy tych dwóch sprawach prawie nieodzowna staje się sprawa lekarska, ale jako problem zdrowotności, walki o ludzkie prawa do życia, opieki nad cierpiącymi i chorymi, profilaktyki społecznej itd.

Są to problemy ważne, stanowiące wszakże część wielkich spraw ludzkich, którymi zajmuje się literatura. Domagać się od literatury odtwarzania rzeczywistości społecznej w jej dziejach ludzkich i sprawach pojedynczego człowieka, żądać od niej realizmu, oczekiwać perspektyw rozwojowych — jest rzeczą słuszną.

Natomiast sprawa szczególnego stanowiska przedstawiciela jakiejś warstwy czy fachu to raczej sprawy kompozycji, a więc artystycznej i ideologicznej struktury utworu. Ale w tej strukturze lekarz wart tyle co komisarz. Można oczywiście wyodrębnić role takich reprezentantów, ale jaka z tego korzyść?

Artykuł dr. Wszelakiego dowodzi, że znikoma. Nie w tym jednak tkwi istota zagadnienia. Idzie mu bowiem nie o nową rolę lekarza w Polsce Ludowej, ani o tradycje pracy społecznej, lecz o nowe zadania literatury w służbie medycyny.

Zapewne literatura służy tak wielu sprawom życia, że medycyna może jej również stawiać swoje wymagania. Wszakże interesująca jest rzecz, jaką służebność ma speł-

niać literatura w medycynie. „Potężny czynnik uświadamiający co do rodzaju pracy w poszczególnych zawodach, jakim mogłaby być literatura piękna, właśnie w zakresie zawodu lekarskiego bardzo mało przyczynia się do należytego zorientowania tych, którzy by w niej chcieli szukać wskazówek życiowych”. Tyle koryfeusz gdańskiej medycyny. Jest to trochę za mało i trochę za wiele. Za mało, jeżeli literatura ma się zająć reklamą zawodu lekarskiego tudzież spisywaniem recept. Za wiele, jeśli ma w ogólności i detalach udzielać wskazówek życiowych. Ale nie sądzi tak dr. Wszelaki.

„Jeśli rozważyć olbrzymie miejsce — pisze w syntetycznym skrócie dziejowym — jakie w życiu każdego indywidualnego człowieka zajmuje troska o zdrowie własne i o zdrowie najbliższych, jeśli ocenić, jak coraz wzrastające znaczenie ma w życiu wysoko zorganizowanego tworu — państwa nowoczesnego — troska o dobro znacznie wyższego rzędu, o zdrowie ludu, społeczeństwa, narodu jako całości, wówczas zdziwić się wypa-

mi poeta, który jako biedny, prowincjonalny, zapracowany nauczyciel napisał odcie dla podobnych sobie chudeuszy-pryjaciół. W odzie tej wzywał towarzyszy z największym przekonaniem, i żarliwością:

„Hej! Ramie do ramienia! Spólnymi łańcuchami

Opaszmy ziemskie kolisko!

Zestrzelmy myśli w jedno ognisko

I w jedno ognisko duchy!

Dalej, bryło, z posad świata!

Nowemi cię pchniemy tory,

Aż opleśniał zbywszy się kory

Zielone przypomnisz lata!”

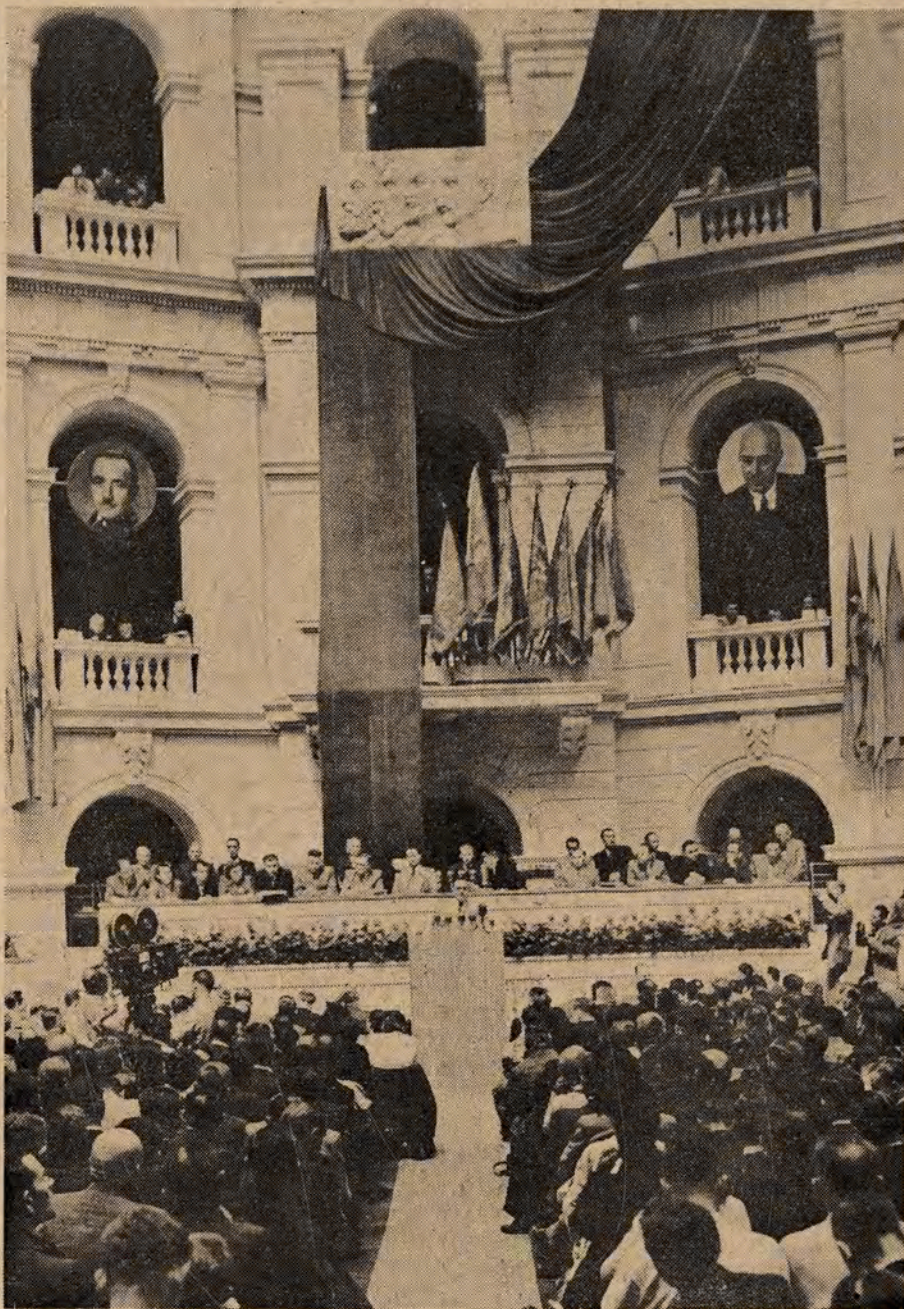
Potężna jest siła wiary! Cudowna, sugestywna moc ludzkiego zapалу! Każde ona: planującym inżynierom zataczać cyrklem wokół Kremla coraz większe i fantazyjniejsze koła ulic, bulwarów, plantacji i parków. Brygady techników, armie robotników i robotnic przenoszą potem te urbanistyczne „sny o potęgze” na konkretne tereny: przesuwają domy, walą w gruz dziewiętnastowieczną tande- tę, przebudowują całe dzielnice, równają powierzchnię pod przyszłe place, drążą tunele, kopią kanały, sadzą aleje starych drzew i transplantują gazony i skwery.

A wszystko to na wyrost, wszystko dla przyszłości, dla lepszego bytu synów i wnuków. Przyszłe pokolenia przejmą bogate dziedzictwo, równocześnie jednak z nim odpowiedzialność wobec historii, ciężkie brzemie bezprzykładnego trudu, zaparcia i poświęcenia setek tysięcy ludzi.

Zagadnienie budowy i odbudowy zaprząta tutaj wszystkich. To nie jest sprawa jakiegos biura czy urzędu. To sprawa najżywiej obchodząca ogół obywateli. Dla wielu, wielu naszych rozmówców istniełoby tylko jako ludzie, którym można było postawić pytanie: jak tam Warszawa? Czy macie już to lub tamto? Reszta się nie liczyła! Albo lepiej: reszta jakoś organicznie zawierała się w tych pytaniach.

Z mnóstwa widzianych w Moskwie galerii, wystaw, obrazów, planów i wykresów utkwili mi w pamięci bardzo wyraźnie jeden obraz: arcydzieło plastycznej kartografii, obraz-plan przedstawiający, jak będzie wyglądała Moskwa za trzydzieści lat. Ars longa! To dobrze. Szkoda tylko, że vita brevis!

Wacław Kubacki



Przemówienie Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta na Kongresie Z. Z. w Warszawie

Garda i Boya-Zelenskiego, którzy wszak byli lekarzami. Dopiero w naszych czasach reputację tej całej zgraj ratuje A. J. Cronin.

Jednak nie żywi do nich zawziętej nienawiści. Raczej zwraca się do niefachowców i wśród nich tropi błędy w obrazach schorzeń niezgodnych z rzeczywistością kliniczną. Wycieczka odbywa się po całej literaturze od Reja do Karasiówny.

Erudycja znakomita, odczytanie wszechstronne. Dr Wszelaki w tym miejscu precyzuje swoją postawę wobec stanowiska lekarza w literaturze pięknej. Walczy o dwie sprawy: po pierwsze, by obraz choroby i czynności lekarza był zgodny z obowiązującymi pojęciami naukowol-lekarskimi i powtóre, by prawda literacka utworu nie cierpiała na braku tła zdrowotno-epidemiologicznego w malowidłach charakteru historycznego i spraw społeczno-zdrowotnych i ich bezpośredniego wpływu na losy człowieka w obrazach typu „obywatelskiego”. Nikt nie zaprzeczy, że wymagania te są rozsądne i godne uwagi. Sienkiewiczowi zarzuca, iż zespiciwszy „Hanię” ospa, nie wykazuje żadnej orientacji w sprawach szczytów przeciwnospowich, jakby o nich nie słyszał, choć akcja toczy się około roku 1860! (wykrzyknik dr. Wszelakiego). W „Ogniem i mieczem” i „Potopie” Sienkiewicz bardzo słusznie dokumentuje z punktu widzenia historycznego a zwłaszcza wojskowego, ale ani słowem nie wspomina o czynnikach chorobowych, które tylekroć decydowały o losach kampanii wojennych. Bardziej zadowolony jest z „Quo vadis”, znajduje tam wreszcie odrobinę prawdy o świecie: epidemii tyfusu wiedeńskiego. Ale niestety nie daje to całkowitej satysfakcji autorowi: epidemii wprowadza Sienkiewicz nie po to, żeby uśmiercić całe miasto, lecz przede wszystkim dla ocalenia cnoty Ligii.

Bardzo trafnie wytyka Anielle Kromickiej z „Bez dogmatu”, że jej śmierć na paraliż kieszek jest śmiesznym nieporozumieniem: mogła bowiem umrzeć jedynie z powodu krwotoku lub po prostu na przeziębienie zakażenie pługowe.

Znacznym postęp wykazuje w sprawach klinicznych Prus Nie za wielki jednak, ponieważ dr. Szuman z „Lalki” odziedziczył wszy niewielki nawet majątek pośpieszenie rzucił się z praktyką lekarską. Dr Wszelaki spieszy nam w tej zawiłanej sprawie z komentarzem „Prus — wyjaśnia — podświadomie uważał wykonywanie zawodu lekarskiego za jakiegoś zajęcie gorszego rzędu”. Jednak twórczości Prusa w czambuł nie potępia. Ratują te twórczość takie spostrzeżenia chorobowe, które dr. Wszelakiemu przypadają do smaku, jak np. piękny obraz nierozpoznanej malarii, na którą umiera Aniella i świetny opis narastającej niedomogi wieńcowej Ignacego Rzeckiego.

Rozważania swoje wiąże dr. Wszelaki z rozwojem myśli polityczno-społecznej w połowie XIX w., który wytyczył drogi socjalizmu i postawił wobec lekarzy nowe zadania umasowienia i upowszechnienia opieki zdrowotnej.

„Jeśli w kilkadziesiąt lat później — konkluduje dr. Wszelaki — czołowi przedstawiciele myśli socjalistycznej mówią o przyszłym, lepszym świecie, twierdząc: „mogli: „przyszłość należy do techników i lekarzy”, to wniosek ten był logicznym rozwinięciem też wywodzących się jeszcze z „Manifestu Komunistycznego”.

Tak więc, jak widzimy, źródła wiedzy dr. Wszelakiego są głębokie i wszechstronne. Człowiek odczuwa nawet niejaki lek, by słowo tak autorytatywne analizować. Ograniczmy się przeto do kilku jeszcze sądów o literaturze.

Niezwykłości charakterologiczne inż. Kozłowskiego z „Ludzi bezdomnych” dr. Wszel-

ki sprowadza do tajemnicy zespołu nierówności zrenic. Jest to bardzo uczone i jednocześnie dla laika nic nie znaczy. Muszę werować medyczne książki. Okazuje się, że nierówność zrenic występuje u syfilityków, oznacza także powikłania mózgowe na tle przebytej kili. Jak wiadomo, Żeromski specjalnie zajmował się problemami społecznymi wariatów. Tragizm Korzeckiego nie jest więc wyrazem sprzeczności ideowych przedstawiciela mieszczaństwa, oznacza zaś po prostu chorobę, którą wywołał nie ustrój, a niemoralna praktyka melancholijnego inżyniera. Świetny klucz do książek Żeromskiego!

„Znam wielu lekarzy, inżynierów, ludzi w swoim zawodzie znakomych, którzy w sprawach kultury są ciemni jak tabaka w rogu, gdy zaś pozostawili im wybór książek, muzyki, teatru czy filmu dokonują go zgodnie z dekalogiem kultury drobnomieszczańskiej”.

Tak pisał Paweł Hertz w „Rozważaniach o książce”. Czy są to oceny słuszne, czy polski przedstawiciel wolnego zawodu rzeczywiście nie umie odróżnić rzeczy wartościowych od niedźnych, istotnych od pozornych, czy jest mu najzupełniej obca znajomość komplikacji, wielowarstwistość i dialektyczność, w jakiej przejawiają się procesy kultury? Kiedyś w szkole średniej czytałem na religii rozproszone na wszystkich ławkach kartki „Kultu ciała”. Ponieważ nasz pocztowy prefekt nie mógł znieść, iż wszyscy patrzyli pod ławki, a nie na katedrę, trzeba było z tekstu Srokowskiego wybierać rzeczy najistotniejsze. Przyjął się więc zwyczaj, że odpowiednio interesujące partie podkreślaliśmy kolorowym ołówkiem. Dzięki temu nie traciło się niepotrzebnie drogiego czasu, a lektura była owocna. Przypomniało mi się to, gdy ujrzałem w pewnym zespole inteligentów nagromadzone numery „Dziennika Łódzkiego”, który drukuje w odcinkach „Łuk triumfalny” Remarque’a. Numery te są również podkreślone kolorowym ołówkiem. Uczestnicy zespołu czytają tylko fragmenty, poświęcone czynnościom zawodowym dr. Rawika tudzież wszystkie sprawy hotelowe. W charakterze rzeczywistości, którą opisuje Remarque i w podstawowej problematyce utworu nikt z nich się nie orientuje. Niestety mało kto z nich posiada przygotowanie

i nastawienie do zainteresowań głębszych i istotnych. Oto np. lektura, która przynosi pełną satysfakcję lekarzowi: dwutomowa powieść Mieczysława Jarosławskiego pt. „Szpital”. Otwieram książkę na dziesiątym rozdziale pierwszego tomu zatytułowanym: „Mózg”. Czytam.

„Panuje przekonanie, że chcąc poznać człowieka dokładnie, należy go poznać na tle jego ogniska domowego: zobaczyć, jak mieszka, jak jada, jak prowadzi rachunki, spełnia obowiązki rodzinne itp. Byłoby to wszakże fotografia, nie żywy człowiek. Miałby rysy płaskie, wypożowane, dwuwymiarowe. Tak ustalony „obraz” człowieka zasługuje jedynie na umieszczenie w kartotece zatytułowanej: typy. Jest jak zarejestrowany specyfik o nieznanym ogółowi składzie chemicznym. Można mu wierzyć, ale... można się na nim zawieść. W gruncie rzeczy każdy człowiek — to indywidualum o własnym wewnętrznym wyrazie, o nieujawnionych możliwościach. Nie ma dwóch ludzi jednakowych, jak nie ma dwóch jednakowych drzew. Człowieka można by było poznać jedynie wbrew jego woli przy zastosowaniu metody jakiejś introspekcji — oceniając go według utajonych, nieznanych nawet jemu samemu myśli, nie zaś według uzewnętrznionych czynów, którymi natura ludzka posługuje się dla zamaskowania skomplikowanej istoty indywidualum”.

Można nie analizować tych bredni, kompromitują się same przez się. Ale w czyich oczach? Poznać myśli człowieka — kontynuuje w tym samym rozdziale Jarosławski — to widzieć nieosłonięte funkcje mózgu. Niech sobie snuje brednie pisarz analfabeta. Ale dlaczego czyta to lekarz, dlaczego kiwa w tym miejscu głową z potakiwaniem, dlaczego nie cisnie książki w kąt, dlaczego w bibliotece swojej nie ma żadnej innej wartościowej książki? Oczywiście, skomplikowana jest odpowiedź na to pytanie.

Inteligencja zawodowa żyje w specyficznym klimacie. Jest to klimat mieszczańskiej specjalizacji, która otacza mózg inteligentki rodzajem żelaznej siatki. Nie jest to sprawa błaha. Fryderyk Engels poświęcił jej dwa rozdziały swego „Anty-Dühringa”.

Marks mówi, że typowa w kapitalistycznym systemie cząstkowa funkcja produkcji

na przykuwa dożywno do zawodu: „kaleczy ona robotnika, czyniąc zeń anomalię, w cieplarniany sposób rozwijając jego cząstkową sprawność przez stłumienie całego królestwa twórczych skłonności i dyspozycji... Osobnik sam zostaje podzielony, obrócony w automatyczny mechanizm pracy cząstkowej”.

Engels zaś ukazuje obraz klas pośrednich, które zostają przez podział pracy oddane w niewolę narzędzia ich działalności: „wyjątkowo duchowo bourgeois — w niewolę własnego kapitału i własnej żądzy zysku, prawnik w niewolę swych skostniałych wyobrażeń prawnych, które panują nad nim jak samodzielną potęgą, warstwy wykształcone w ogóle w niewolę wszelkiego rodzaju prowincjonalnej ciasnoty i jednostronności, w niewolę ich własnej krótkowzroczności fizycznej i duchowej, w niewolę ich kalektwa spowodowanego przez wychowanie przykrojone na miarę specjalności i przez dożywno przykucie do tej specjalności — nawet gdy specjalność ta jest tylko próżnowaniem”.

W warunkach polskiej rewolucji inteligencja powinna była już od dawna odrzucić owe kajdany niewoli zawodowej. Czy uczyniła to jednak? Żeby być wolnym, trzeba się zdecydować. Trzeba powziąć decyzję intelektualną, decyzję ideologiczną, decyzję polityczną. W każdym ustroju istnieje problem wielkich i małych jego spraw, wielkich i małych jego zadań. Nie każdy ustrój daje warunki wykorzystania tych możliwości. Ale w naszym wystarczy decyzja. W inteligencji naszym tęsknoty do wielkości nie zawsze poparte są decyzją walki. Naszego inteligenta mierzy vegetacja codzienna, ale braknie mu sił do pełni. Skąd to pochodzi? Engels mówiąc o ludziach odrodzenia pisał: „Co ich szczególnie charakteryzuje, to okoliczność, że prawie wszyscy żyją życiem swej epoki, biorą udział w praktycznej walce, angażują się i walczą, jeden słowem i piśmem, inny mieczem, niektórzy jednym i drugim. Stąd owa pełnia i siła charakteru, dzięki której są prawdziwymi ludźmi. Odrzuciwszy od życia uczeni są wyjątkiem, są to bądź ludzie drugiego i trzeciego rzędu, bądź ostrożni filistrzy, którzy nie chcą poparzyć sobie palców”.

Te wyjaśnienia sformułowania ukazują nie tylko genezę społecznej i ideologicznej apatii, lecz także odkrywają ślady, które prowadzą do ciasnoty, ograniczonej zawodo-

wej i braku wielkich potrzeb kulturalnych niektórych środowisk drobnomieszczańskich. Uboga literatura to ciasne życie. Upodobanie do „Czarnego Narcyza” to aberacja intelektualna, ale to także ucieczka przed bujnym życiem naszej współczesności na mównice zbrodni seksualnych i innych sparszywień. Wnioski z tego nasuwają się same. Wielkie potrzeby kulturalne to nie tylko tradycja, to także wszechstronne i różnorodne działanie. By uczestniczyć w tym, trzeba decyzyjnie równie wszechstronnej jak odważnej.

Wszelkie ograniczenia w życiu i potrzebach kulturalnych, wynikające z małomieszczańskich tradycji zamkniętych, wyspecjalizowanych kręgów pracy, przezwydziały nowe zadania i nowe sposoby ich realizacji. Tkwią w tym także czynniki pedagogiczne i intelektualne. Świadomość można kultywować w ciasnym kręgu specjalizacji lub urabiać wszechstronnie. W wychowaniu młodych zawodowców: absolwentów szkół technicznych i fabrycznych istotną sprawą jest położenie nacisku na program wychowania i wykształcenia. Wykształcenie musi być specjalistyczne, ale w przygotowaniu do technicznych funkcji, nie w ograniczeniu elementu ogólnokształcącego i teoretycznego w treści programowej przedmiotów nauki. Wychowanie musi rozwijać wszechstronnie zamiłowania i upodobania kulturalne i być przeciwwagą ograniczających funkcji zawodowych, przez wprowadzenie tych elementów wszechstronności, które tworzy działalność społeczna organizacyjno-młodzieżowa, polityczna, umysłowa, świetlicowa. Kryterium dobrej jakości stanowi dziś także udział w wycieczkach, bibliotekach, zespołach śpiewających i dramatycznych, kółkach samokształceniowych i wszelkich innych czynnościach pogłębiających treści i rozszerzających zakres potrzeb kulturalnych. Kiedy myślimy o inteligencji zawodowej, to niepokoją nas kadry zamkniętych w ciasnym kręgu specjalistów, radują zastępy nowe, dla których nowe warunki społeczne i wynikające z nich zadania stanowią wielkość czynnego narodu, która jest wielkością każdego człowieka pracy. Wielkie zadania dla wielkich ludzi, wielkie wartości dla wielkich potrzeb. W tych kategoriach rozwiązują się problemy pracy, zawodu, kultury i człowieka.

Jan Baculewski

Karol Kewes

LOUIS ARAGON - POETA WALCZĄCY

Pięć tygodni upłynęło od zamknięcia Kongresu Pokoju w sali Pleyel. Zdajemy sobie sprawę z historycznego znaczenia tego okresu, a jego wspaniały sukces jest prawdziwym zastrzykiem optymizmu dla wszystkich pragnących pokoju. Ale kongres paryski nie tylko pomógł reprezentantom 72 narodów w skoordynowaniu ich akcji pokojowej, nie tylko dał im możliwość bliższego zapoznania się z problemami różnych krajów; uczestnicy kongresu wynieśli z niego wrażeń, które zapisały się na zawsze w ich pamięci. Paul Robeson ze swymi wspaniałymi pieśniami o „4 generalach”, o „Joe Hill”, ze swym „Old Man River”, Pablo Neruda wyrwany z rąk imperialistów dzięki akcji zapoczątkowanej we Wrocławiu, wzruszające przemówienie Kosmodemianskiej, potężna manifestacja na Buffalo, którą Erenburg słusznie określił jako „słowo ludu Francji”, i tyle innych momentów wzruszeń, entuzjazmu, które łączą się nierozdzielnie w jedno ogólne wspomnienie o kongresie Pleyel.

W pamięć moją wrył się specjalnie pewien fragment manifestacji kongresowych, które miały miejsce poza salą obrad. Otwarcie wystawy pokoju w Cirque d'Hiver zostało poprzedzone koncertem, w czasie którego Louis Aragon odczytał kilka swoich poematów z epoki rezystansu. Jeden z nich „La rose et le réséda” poświęcony dwóm męczennikom rezystansu: Gabrielowi Perri, komunisty, który nie wierzył w niebiosy, i Estiennes d'Orves, katolikowi, który w nie wierzył, jest równie znany we Francji jak „Oda do młodości” w Polsce. Ale w ustach Aragona ten piękny poemat nabiera jakiejś specjalnej wymowy. Słuchając go myślałem o słowach Majakowskiego, że: „pieśń i wiersz to bomba i sztandar, a głos poety podnosi klasę... „La rose et le réséda” to doprawdy bomba i sztandar francuskiego ruchu oporu.

Nie trudno zrozumieć, czemu Aragon zawdzięcza swą niebywałą popularność we Francji.

W momencie „liberation” jego nazwisko, podobnie jak Eluarda czy Vercorsa, było równie bliskie wszystkim Francuzom jak imiona wielkich szefów wojskowych czy politycznych.

Claude Roy opowiada, że pierwsze pytanie, które usłyszał od lotnika francuskiego po wyzwoleniu Lyonu było: „Jak wygląda Aragon?” Pytano go o kolor jego włosów, oczu... A trzeba wiedzieć, że nigdy w dziejach Francji nie było tylu poetów co w okresie okupacji. Wypowiedzi, za które autor zapłaciłby głową, jeśliby sformułował je prozą, w formie wiersza często uzyskiwały pieczęć cenzury. Niemcy nie byli zdatni do zrozumienia poezji i dlatego stała się ona najbardziej rozpowszechnionym językiem publikacji patriotycznych tego okresu. Oczywiście oprócz zbiorów poezji, które legalnie wychodziły na światło dzienne, drukowano w podziemiu „poezje wojenne”. Prawie za każdym dziełem, które wychodziło z pozwoleniem władz, szło inne, silniejsze i piękniejsze — drukowane nielegalnie.

Nie można opisać literatury ruchu oporu w jednym artykule, nawet w jednej książce. Chciałbym tutaj, nawiązując do pamiętnego wieczoru w Cirque d'Hiver, pobieżnie i ogólnikowo omówić twórczość Aragona w okresie ruchu oporu.

Aragon brał udział w kampanii 1940 r. Walczył w Belgii pod Dunkierką i został ewakuowany do Anglii. Nie skorzystał jednak, jak wielu innych, z prawa azylu i dobrowolnie powrócił do okupowanej ojczyzny. Wrócił do Francji ze świadomością roli, jaką powinien odegrać poeta i patriota. Postanowił kontynuować wojnę z hitlerowcami przy pomocy poezji. Każdy „udany” wiersz jest czynem wojennym. Nie istnieje dla Aragona inna poezja niż poezja walki. Językiem poetyckim potrafił on w ciągu czterech lat okupacji mówić pełnym głosem to, co wszyscy uczeni Francuzi myśleli w ukryciu. Bardziej niż kiedykolwiek w tym okresie pragnie on, by jego dzieła były rozumiane przez wszystkich. Nie dla grup wybranych, lecz dla całego „narodu pisze swoje poematy. Louis Parrot opowiada pewien wypadek, który najlepiej charakteryzuje ten sukces poety. Aragon, który znajdował się na wsł, poprosił Parrota aby przetrwał do Paryża jego nowy poemat. Parrot uczynił to telefonicznie z poczty w pewnym małym miasteczku. Przypadkowo znajdujący się przy tym chłopci zebrał się wokół czytającego i po zakończeniu nagrodzili go brawami. „Oto przynajmniej jest człowiek, który potrafi powiedzieć to, co my wszyscy myślimy” — powiedział Parrotowi jakiś wieśniak. Nie należy jednak sądzić, że Aragon poszedł po linii najmniejszego oporu i by został zrozumianym przez wszystkich, pisał wiersze a la Déroulède. Pozostałości po surrealizmie i wpływu Apollinair’a wyraziły się w użyciu form często skomplikowanych, a jednak zrozumiałych. Ma się wrażenie, czytając Aragona, że sprawiał on sobie przyjemność pokonywania przeszkód i tworzył dzieła o wielkiej wartości literackiej, nadając się jednocześnie dla szerokiej publiczności. Przytoczę tutaj opinię Francois Mauriac’a o poezji Aragona, który w kilku zdaniach wyraził podziw dla jego dzieł. Oto co pisał ten znany pisarz katolicki, członek Académie Française w „Poesie 44” (N 21.V XII.44):

„Rząd Vichy dawał codziennie Francuzom pewną dozę narkotyków. Lecz w odpowiedzi rozlegał się potężny głos poety. To Louis Aragon, który wznosił się ponad uśpijające fałszy. Śpiewał on „Prelude à la Diane française”. Jego miłość ojczyzny wyzwoliła się w poezji ludowej o najsłabszym charakterze i poezji, której sekret zgubił się we Francji od czasu Victora Hugo”.

Ale sam Aragon w przedmowie do „Les Yeux d'Elsa” („Oczy Elzy”) najlepiej na pewno sformułował swoją koncepcję poezji: „Pieśni ludowe to tajemnicze źródło, które czyni cuda dla tych, którzy władają językiem. W warunkach tragicznych i dla poezji i dla świata nowoczesnego ja chciałbym dać wyraz temu głosił błądzącemu, chciałbym umieścić poezję francuską w ogromnym cielemęczeńskiej Francji”.

Nie zawsze miał możność Aragon wyrażać oficjalnie swoje myśli. Tylko pierwsze dzieła z okresu wojennego złączone w zbiór „Creve-Coeur” wyszły w 1941 r. w zonie „wolnej”, a w 1942 r. w Paryżu (Rok później ukazały się w Moskwie z przedmową Ilii Erenburga). Znaczną część „Les Yeux d'Elsa” (jak również „Brocéliande”, poemat o tematyce wziętej z ballad średniowiecznych, o cierpieniach patriotów) ukazała się również oficjalnie w miesięczniku „Fontaine”. Wszyscy Francuzi rozumieli prawdziwy sens jego poematów. Nie trudno było dopatrzeć się w Elzie uosobienia Francji, a hymny, które Aragon śpiewał na jej cześć, wzywały Francuzów do walki, uczyły miłości ojczyzny. Minister Informacji rządu Vichy zabronił wszystkim wydawnictwom drukowania Aragona. Od tego czasu poeta występował pod różnymi pseudonimami. Zamieniał się w Paula Wateleta, w René Taverniera i na koniec przybierał imię François la Colère (Franciszka Gniewnego). Pod tym imieniem zostało nielegalnie wydane w Paryżu arcydzieło poezji ruchu oporu, wspaniały „Le Musée Grevin”. Urywki z „Le Musée Grevin” krążyły w ulotkach najpierw w Paryżu, potem w całej Francji. Ten poemat pełen olśniewających obrazów, jest jednocześnie bezlistnym potępieniem zdrajców i modlitwą, słowami otuchy dla ich ofiar. W wyrazach pełnych zemsty maluje w nim Aragon niedźników, którzy wydają niewinnych w ręce katów i wspominają twarze torturowanych kobiet francuskich.

Auschwitz! Auschwitz! ô syllabes
sanglantes...
Une partie de nos coeurs y perit peu
à peu...
(Oświećmi! Oświećmi! o krwawe sylaby...
Cześć naszych serc w nich ginie powoli...)

Franciszkowi Gniewnemu zawdzięczamy zbiór poematów „Chant des Francs-Tireurs” (Śpiew partyzantów) i wiele innych. Trudno doprawdy wyliczyć wszystkie dzieła napisane przez Aragona w czasie okupacji. Każde wydarzenie na froncie walki znajdowało swój oddźwięk w wierszach poety, żadna zbrodnia niemiecka nie uszła jego pióru. „Pieśń o Gabrielu Perri”, „Romans czterdziestu tysięcy”, „Śpiew o uniwersytecie w Strassburgu” (poświęcony uniwersytetowi alzackiemu, który zebrał się w Clermont-Ferrand i stał się ofiarą renesansu niemieckiego) itd. itd. Wreszcie „Ballade pourcelui qui chante dans les Supplées”. („Ballada o tym co śpiewał na miejscu kaźni”). Jeszcze raz a propos tego dzieła przytoczę słowa Francois Mauriac’a: „To Louis Aragonowi zawdzięczamy tę balladę, która zapisała się na wieki w pamięci dzieci Francji”.

Tu peux vivre tu peux vivre
Tu peux vivre comme nous
Dis le mot qui te délivre
Et tu peux vivre à genoux.”

(Żyć mógłbyś mógłbyś szepcally
Żyć mógłbyś jak nam żyć dano
Jedno cie słowo ocali
Żyć mógłbyś zgłuszany kolano”).
t. A. Ważyk

Ta ballada poświęcona jest tym wszystkim, którzy mieli do wyboru: wydać swoich towarzyszy lub zginać, i którzy ginęli śmiercią bohaterów jak Gabriel Perri, którego ostatnie słowa powtarza Aragon:

„Et si c'était à refaire
Je refaisais ce chemin”.
(„Jeśli mam zacząć od nowa,
Zaczęć wysiłkiem nie mniejszym”)
t. A. Ważyk

Louis Aragon brał czynny udział w walce z hitleryzmem nie tylko jako poeta. Był on działaczem nielegalnej partii komunistycznej, która jest tematem wielu jego poematów. W jednym z nich „Du poète à son parti” (Poeta — swojej partii) czytamy:

Mon parti m'a rendu mes yeux et ma
memoire...
Mon parti m'a rendu le sens de l'
l'épopée...
Mon parti m'a rendu les couleurs de la
France...

(Moja partia zwróciła mi oczy i pamięć,
Moja partia zwróciła mi sens epopei,
Moja partia zwróciła mi barwy Francji).

Louis Aragon to także organizator walki intelektualistów francuskich. Redagował on nielegalny biuletyn w Lyonie „Les Etoiles” (Gwiazdy). Zorganizował wymianę tekstów między poetami i pisarzami. Wysłał za granicę wiadomości i dzieła literatury rezystansu. Był współtwórcą (wraz z Martinem Chauffierem) podziemnego Związku Dziennikarzy. Potrafił zebrać wokół siebie najlepszych przedstawicieli inteligencji francuskiej. Jego działalność miała decydujący wpływ na wielu intelektualistów francuskich, bo Aragon był nie tylko poeta i pisarzem, którego się słucha, lecz również przywódcą zasługującym na pełne zaufanie. Louis Parrot pisał, że jego postawa w czasie walk w Belgii, w Dunkierce, wzbudzała podziw towarzyszy broni. Inni zachwycał się jego zdolnościami organizacyjnymi i odwagą w działalności podziemnej.

Trzeba wreszcie stwierdzić, że Aragon, ten wielki poeta, kontynuator pięknych tradycji poezji francuskiej, jest jednocześnie wspaniałym powieściopisarzem, autorem „Les Beau Quartiers”, „Voyageurs de l'imperiale”, „Aurélien”, „Cloches de Bale” i ostatnio „Les communistes”. W czasie okupacji jego „Martyrs de Châteaubriand” i „Crime contre l'Esprit”, „La passion de Gabriel Perri”, „Sur les prisons de France” itd. były dziełami o wielkim znaczeniu, które zyskały pochwałę najsurowszych krytyków.

Działalność Aragona jako bojownika o pokój i sprawiedliwość nie skończyła się wraz z „liberation”. Dla niego walka trwa póki istnieją wrogowie ludzkości, których poeta powinien demaskować i potępiać. Widzieliśmy go na kongresie paryskim w pierwszym szeregu obrońców pokoju, tak jak przed kilku laty na czele walczących o wyzwolenie Francji.

Władysław Dunarowski

Ilustr. S. Cieloch

C I E Ż A R A K

Ruchliwa siekiera, mignawszy kilkakrotnie spracowanym blaskiem, odpadła wreszcie od drzewa, by spocząć na białej pościeli stolarskich wórn i obżyńków. Izba zaległa ciszą. Marcin oparł się o warsztat, odpasnął, następnie zabrał się do nabijania fajki. Wkrótce otoczył się kłębami ostrego dymu i niewiele mniej ostrymi myślami, posiadających tę właściwość, że nie rozplywały się z dymem, nie wylatywały przez zamknięte okno, nie roztopiały się na różnych kryształach okiennej szyby.

— Dziadku, czy skończyliście już robotę? — pyta ośmioletnia Karolka. — Podmiotłabym izbę, bo strach patrzeć, co wszędzie śmiecia. Jak nie u ludzi...

— Marcin nie zaraz odpowiedział. W tej chwili silniej od wnutczki odezwały się jego ręce. Dzwone ręce. Gdy walił z ciałych sił siekierą, nie czuł ich wcale; ale wystarczyło odpocząć na chwilę, a one natychmiast znajdowały okazję do zmanifestowania swego istnienia. Czyny to w sposób nader dokuczliwy: cierpiały i wypełniały się ogromnym ciężarem.

— Cofnijcie się, bo zmiotam! Czy nie widzicie? Niechże wygarne... O jeden krok się cofnijcie...

— Marcin się obruszył: — Jak ci to pilno z tym wymiataniem... Myślałbyś, że tak się znacie na porządkach... Ojej, jakie straszne państwo! Moja robota im zawadza, moje wióry... A przecież gdyby nie te wióry, kto wie, czy byłabyś na świecie, czy...

Pohamował się, bo czy warto gadać o takich sprawach dziecku? Czy Karolka mogłaby to zrozumieć? A przecież jest prawdą oczywistą, że gdyby nie te wióry, nie uboczne zarobki przy warsztacie, nie dokupiłby pola, działołaby na trzech morgach, nie pozeńiłby dzieci, nie upchnąłby ich z domu... Gdyby nie te wióry, nie siekiera, dzisiaj jego dzieci poniewieraliby się po służbach i kto wie, jakiej niedzy by zażywały... Toteż dzień i noc harował, by nie dopuścić do tego. Wiele lekka złość go wzięła na wnuczkę. Zamiast tłumaczyć powiedział z żalem w głosie.

— Jeszcze wymieciesz śmieci, wymieciesz... Może nawet wkrótce wymieciesz po mnie, po mojej robocie... Widoki są: ręk prawie nie czuję, choć niewiele co zrobiłem.

Karolka spojrzała na dziadka z politowaniem.

— Nie wiele? Nie gadalibyście byle czego... Od rana walić siekierą, że aż uszy bolą od tego huku. W głowie się kręci... Tata z mamą nieraz się dziwią, po co wam ta robota? Nie narobiliście się to jeszcze? Nie moglibyście odpocząć na starość?

— Marcin spojrział w drugi kąt izby, szukając wzrokiem córki. Obierała ziemniaki na wierzchu. Zdawała się być myślami w innym świecie. Nie prędko zorientowała się, o co jej chodzi.

— Jakież gadania robicie po kątach — mruzczał niezadowolony. — Dziwujecie się... A gdyby nie ta siekiera, nie moje wstawanie zaraz po północy, bieda przypieklaby was tak, jak innych we wsi... Bo jakie życie z trzech morgów? Nie chce wam się tego pamiętać, wiem... Dziś jest trochę inaczej. Co sześć morgów, to nie trzy.

Aniela odwróciła się do ojca. — Nikt wam niczego nie zapomina, nie gadajcie... Ale Karolka dobrze wam powiedziała, że moglibyście odpocząć na starość. Co jest w domu, z niczym się przed wami nie kryjemy... na osobności nikt lepszego nie jada. Chyba nie powiecie...

Nie, tego Marcin nie może powiedzieć. Ale o robocie myśleć nie przestaje. Nawet się dziwuje, że córka z zięciem nie mogą tego zrozumieć. A sprawa taka prosta. Przecież wiadomo, że w tych latach każdej chwili może go zwać z nog choroby, może się przypieścić niedołęstwo, słabość... Trzeba coś mieć na te godziny, bo darmo nikt wody nie poda. Córka, zięć, wnuki... Jakiś czas zaopiekują się, ale nie długo. Na latanie koło dziadka, na dobrą opiekę braknie im godzin w ciągu dnia. W jednym tylko wypadku znajduje okazję na bodaj krótkie zapytanie: czy dziadkowi czego nie trzeba — jeśli będzie wiadomo, że kuferek dziadka nie jest pusty. Kto zna ludzi, ten wie, jak szybko wysycha w biedzie ludzka dobroć. Stara to historia, nie dzisiaj. Wobec tego co mają znaczyć owe pokątne szeptki?

— Wiem, wiem, że wam zawadzam na każdym kroku. Nie potrzebuję mi tego przypominać — żalił się niby do Karolki. — Dobrze wiem... No, wymiataj te śmieci, wymiataj!... Więcej nie będę dziś robił... Wymiataj i prosz Boga, żebym się wam całkiem uprzętnął... żeby jak najprędzej. Wtedy wam się rozprzestrzeni w izbę, nie będzie hałasu, nie będzie śmieci...

— Jaki z was dziwny człowiek! — wtrąciła się znów Aniela. — Marudzie nad Karolką, a przecież wam nie takiego nie powiedziałam. Ani ona, ani ja, ani nikt z chaty... Dopatrujcie się krzywdy tam, gdzie jej nie ma. Ale gdy was inni krzywdzą, nie widzicie. Nie raz wam mówiłam, lecz wy nie...

— Inni? Jacy inni? — krzyknął Marcin. — Kto mnie krzywdzi?

— Wszyscy, którzy u was zamawiają wozy... a przede wszystkim ci najbogatsi. Biedni, jeśli się zdołają na wóz, płaci z góry, aby nie było najmniejszej wątpliwości co do zapłaty. Natomiast bogaci są na tyle bezczelni, że ani zadatku wam nie dają ani po-

tem nie wywiązują się rzetelnie. Taki Sakraś przyjechał po robotę, zabrał, naobiecował różności... i do dziś dula nic. Już trzeci rok wojny, pieniądze spadły... doprawdy nie wiem, jak wy się wyrównacie. A wy nie. Upominacie się, bo jakże się upominać u kmięcia! Bogacz obraziłby się śmiertelnie, wiadomo... Bogacz ma wpływy, więc w obawie, żeby wam nie zepsuł opinii, milczy. On też milczy udając zapomnienie. A wy udajecie, że wam nie pilno, że zadowoleni jesteście z samego zaszczytu odstawienia roboty kmięciowi. Ja na taki zaszczyt... e, niechże nie powiem! Żeby chociaż Sakraś był jedynym, pal go szesć. O ile wiem, jest ich więcej. Maczek według umowy miał wam jeszcze dodać trzy kilo słoniny — dostaliście? Wiem przecież, że niedawno zabił wieprza. Przy waszej robocie należałoby się przetrzeć gardło z kurzu... Wy znówu nie. Nie pojmuję, jaka przyjemność jest w robocie dla tych wyzyskiwaczy. Nie pojmuję... Marudzie zdrowie — i co z tego? Tylko niewygoda w domu, ścisk i hałas. Nie powiem, gdyby



biednemu czasem opuścić w cenie, poczekać na zapłatę; przynajmniej byłby wam wdzięczny za to. Ale aby się dać krzywdzić tym pasibrzuchom — trzeba na rozum upaść. W oczy wam to mówię, otwarcie.

— Marcin zachmurzył się. Nie wie, co Aniela na to odpowiedzieć. W jej słowach jest dużo prawdy, chociaż traktuje te sprawy po kobiecemu. Przy interesach potrzebna jest często polityka. Ale co do Sakrasia i kilku innych — święta prawda. Wyzyskują go. Wyzyskują, bo stary, bo już nie gazda, li tylko się z nim nie trzeba... Tyle że dobra robotę odstawił. Na jego wozach cały świat można by przejechać — tyle w nich siły. A przy tym są lekkie i zgrabne. Mimo to coraz trudniejsza staje się rywalizacja z młodymi majstrami. Ludzie w dalszych wsiach już zapominają o Marcinie, wątpia w jego siły. Co by to było, gdyby Sakraś zaczął przeciw niemu buntować... Koniec majsterki! Nie ma innego wyjścia: trzeba cicho siedzieć... razem z krzywdą.

— Siedzieć cicho — podnosi głos Aniela — nic mi do tego. Ale w takim razie nie skarżcie się przed ludźmi na dom, na dziecko... że niby tu piekło, że nie do wytrzymania... Inni was krzywdzą, a na kogo innego obnosicie skargi po wsi. Potem ja muszę wysłuchiwać...

— Marcin broni się przed zarzutami, jak może. Cóż że czasem coś powie? Ot, dla ulżenia sercu.

— Słyszałaś, jak kiedyś odpowiedziałam Pukropowi? — chwali się Marcin — słyszałaś? Powiedziałam mu: dacie tyle a tyle w towarze, wóz będzie gotowy jeszcze tej zimy. Poszedł, nie zgodził się. Słyszałem, że przepytuje się u innych majstrów. Niech idzie.

— Aniela nie jest zbyt zachwycona stanowczością ojca w stosunku do Pukropa. Po prostu nie wierzy w jej trwałość.

— Nie wierzysz? — upiera się Marcin. — No, to zobaczysz, że nie ustąpię. Już raz przed wojną zarwał mi Pukrop z jakąś robotą, drugi raz to mu się nie uda.

Tymczasem Karolka zmiołła wióry na kupkę i co cenniejsze wyniosła do stajni pod bydlę. Grubsze przeznaczyła na podpałkę. Spieszyła się, bo mroź szczyptał ją po bosych nogach. Przed oczami miała już ogień, jaki za chwilę roznieci w piecu. Była matka nie odęgała jej do innej roboty: Na szczęście słyszy wołanie, przynaglaające do pośpiechu.

— Nie bawilibyś się tyle z zmiotaniem... Już powinno się palić. Nie widzisz, jak dziećka skulają się od zimna... Co to za izba, że trudno w niej ciepło utrzymać... Widocznie ściany są zbyt wytrzeszone nieustannym hukiem, widocznie porobiły się szpary i ciepło ucieka... Jak będzie przepchać zimę w takiej izbie?

— Marcin zmilczał tę nową zaczepkę. Ale w odpowiedniej chwili powie swoje zdanie. Na łasce tu nie siedzi: ma część gruntu, z którego się nie spisał. Nie był tak naiwny, żeby swój los w całości zawierzać dzieciom. Ma zatem pewne prawa nie tylko do gruntu, ale również do izby. Kłopot jedynie z tym, że do tej izby z każdym rokiem nowy człowiek zgłasza swe prawa. Prawo się rozdrabnia na coraz mniejsze części. Błogosławieństwo boże trochę za obficie i wcale nie dopasowane do tych kilku morgów jałowej ziemi. Marcin nieraz się poważnie zastanawiał nad tym problemem. On dał sobie radę tylko dzięki temu, że zna się na majsterce i miał tylko pięciorgo dzieci. Lecz z zięciem gorsza sprawa...

dziecinnej jazgotu. To Karolka zapalała w piecu, a reszta dzieciarni cziłła się wokół niej.

— Będzie tam spokój pod piecem! — krzyczy dziadek od swego warsztatu. — Gdzie to się matka podziała? Gdzie ojciec? Hej, słyszcicie! Bo pójde do was z patyką... Jeszcze raz mówię: spokój!

Dziadkowe groźby niewiele skutkują. Dzieci prawdopodobnie wyczuwają siłę masy i wskutek tego lekceważą zapowiedź niebezpieczeństwa. Zresztą w tej chwili istotny jest dla nich tylko ogień, sam ogień, który tak ładnie wytrysnął z rąk Karolki.

— Marcin patrząc na palenisko łagodnie w zniechęceniu do życia. Z falą ciepła i blasku idą również dawne wspomnienia. Wspomnienia z tego okresu życia, kiedy przy tym piecu stała jego żona, Teresa. Inne to były czasy, inny ogień płonął, inne ciepło szło na izbę. Czy nie można by rozniecić tego ognia jeszcze raz?

Od czasu, gdy został wdowcem, to znaczy od dziesięciu lat, często napastowały Marcina owe małżeńskie plany, snute w tajemnicy przed ludźmi. Jeśli się ośmielił powiedzieć coś na ten temat, czynił to pół żartem i z kpinkami. Nie przeszkadzało mu to jednak śledzić oddźwięku owych żartobliwych projektów. Niestety, musiał stwierdzić, że wszyscy traktują owe półzarty za prawdziwy żart. A przecież tak pragnął, by znalazł się ktoś rozsądniejszy, który by usiłował tłumaczyć, że niech śmiechem, a życie jest życiem... i on, Marcin, mimo przekroczonych sześćdziesiątki przy dobrej kobiecie upchnąłby parę lat znośniejszego życia... Przecież starsi się żenił... przecież potrzebna mu opiekunka, której córka przy swobdzie obowiązków zapewni mu nie może... Przecież w tym wypadku jest tylko jedna rada...

Jednak daremnie czekał Marcin tej jednej rady. Trzy lata temu już miał upatrzoną pewną wdowę, już był bliski decyzji, gdy wybuchła wojna, która druzgocąc cały kraj — pokrzyżowała także plany Marcina.

Pod wieczór chwytła silniejszy mroź. Od okien wieje lodem. Marcinowi sztywnieją ręce, chłód przenika kości. Dobrze byłoby usiąść pod piecem, na wprost otwartych drzwi, w czerwonym żarze ognia... Ale jak się tam dostać? Dzieci oblepiły piec, jakże je sprychać? Jakże odsunąć Karolkę, która na wprost drzwi bawi niemowle?

Na szczęście dziecko zaczyna popłakiwać. Kręcić się i uciekać z rąk dziewczyny. Widzi to dziadek, więc podchodzi i bierze dziecko na ręce, czemu Karolka bynajmniej się nie sprzeciwia. Już dosyć się nabawiła dzieci, dosyć nasłuchiwała płaczu... Odetchnęła. Przynajmniej raz zrobił dziadek coś porządnego!

— Zaraz wam pokażę, jak się bawi dziecko... Zobaczcie, czy będzie płakało... Patrzcie, już się śmieje... Już czuje inne ręce. Biedne maleństwo! Zmarznęte na kości... Dajcie no mi ten stolek... usiądę przy ogniu, może temu nożeta roztaja... Bo jak lód... Ej, gałgany, gałgany... Żeby aż tak dziecko zmrozić... Żadne sobie nie pomyśli, że dziś ani doktora, ani apteki... Czyście zapomnieli, że wojna?

Wtem skrzypnięcie i świeży prąd powietrza. Marcin przerywa monolog o sztuce bawienia niemowląt. Jest zaskoczony przyściem Pukropa. Zaczyna się zwyczajna rozmowa.

— Jakże tam na polu?

— A no zwalila się ta bestia i nie chce popuścić. Tyle że od zachodu wiatr się zrywa, pewnie na zmianę.

— Wydaje mi się, że wschodni jest na zmianę... A niech by przyszła jaka zmiana, niech...

Po tym wstępie poszły ostatnie wydarzenia we wsi. A więc kontyngenty... a więc nowe wezwania do wyjazdu na roboty do Niemiec... a więc kłopoty z bydlęciem, niekiedy znowym... a więc szeptki o różnych ludziach i wiadomości z frontu... W końcu podchodzi Pukrop do własnej sprawy.

— Jak widzę, w w Marcinie, wciąż cupicie przy robocie... Moglibyście już sfolgować, mogli... Bo to i lata są, i ręce zmordowane... Nie pojmuję, dla kogo tak się męczycie? Córce zdalście grunt, powinna o was pamiętać...

— Marcin krzywi się gorzkim uśmiechem.

— Aniela o tym drobiazgu nie jest w stanie pamiętać, a co dopiero o mnie... Tak się widzi, ale dopóki sił starczy, dopóki ręce potrafią utrzymać siekierę...

— Tak tak — przytakuje Pukrop, pełen zrozumienia dla tych przykrzych spraw życiowych. — Tak tak... Ale gadu, gadu, a ja do was w interesie. Jakże z tym wozem? Zrobicie mi tej zimy? Może się zmieni coś do wiosny, więc dobry wóz przydałby się bardzo.

— Czemu nie, zrobię. Ino na tych warunkach, jak powiedziałem.

— Nie bądźcież taki uparty! Choćby chiał z duszy i serca, nie mogę przstać. Do cna mnie wojna przeniosła... Przyjdzie kiedy, to ujrzyte... Wszystkie ciężary tylko na nas wala, wszystkie kontyngenty...

— Nie mówcie... No, tak, ciężkie czasy... Ale co powiedzą biedniejsi, jeżeli wy tyle narzekacie?

Pukrop nie słucha, tylko wyciąga rękę do zgody.

— No, ugódzić się i pójde ze spokojnym sumieniem do domu. Jakże będzie?

— Marcin milczy patrząc w ogień. Potem bada nożki dziecka: nareszcie się rozgrzały.

— Wiecie — zaczyna Pukrop innym głosem — miałem do was drugą sprawę... Dawno się wybierałem, by z wami pomówić w cztery oczy...

„Marcinem aż szarpnęło. — Co takiego?
— A to, że powinniście się ożenić.
— Na śmiech chyba gadacie... Gdzie mi w głowie jaka żeniaczka? Mnie staremu?
— Po weselu ubędzie wam lat połowa... Wcale na śmiech nie mówię. Patrzcie tylko: w domu ścisk, niewygodna, ani kto ugotować, ani oprąć... Jedyne wyjście z biedy — to żeniaczka. Wdowa Jędrzejka w sam raz byłaby dla was. Ma swój dom, trzy morgi pola, upchnęlibyście parę lat ludzkiego życia. Marcin spoważniał.
— Mówicie: Jędrzejka... Przypatrzyłem się jej w niedzielę... tak, kobieta z niej jeszcze, jeszcze... Tylko że dziecka w domu dorosłe...
— Z dziećmi kłopotu nie będzie, nie miej-

cie obawy. Grunt matka obieca dziewczynie, a ta jeszcze do szkoły chodzi, więc do jej żeniaczki daleko. Chłopak jest dorosły, długo zawadzał nie będzie. Niech tylko wojna się skończy, świat się rozprzestrzeni i nikt chłopaka więcej nie zobaczy. Ja na waszym miejscu nie namyślałbym się ani chwili. Tu zawsze wrócić możecie, a dobre te parę lat... Weszła Aniela. Dziecko zobaczywszy matkę na gwałt zaczęło się wydzierać z rąk dziadka. Chłopi przerwali rozmowę. Po chwili zaczął Pukrop.
— Skończmy najpierw z tym wozem, a potem pogadamy o czym innym. Więc jakże? Marcin bez długiego namysłu podał rękę na zgodę. A na usprawiedliwienie powiedział:

— Jeśli się spodziewacie na wiosnę jakiejś wielkiej zmiany, wóz musicie mieć. Będzie gotowy. U mnie słowo jest słowem.
Na Anielę czekała jeszcze ścieczkarnia, więc nie zważając na wyciągnięte rączki dziecka, wybiegła do stodoły. Nawet nie dosłyszała rozmowy dziadka z Pukropem. — Prędzej! — niecierpliwie się Józek. Ścieczkarnia aż brzęczy z powodu nadmiernej ilości obrotów. Aniela nie może nadszyc z zadawaniem słomy i koniczu. Józek ją upomina:
— Tylko nie za wiele koniczu. Do wiosny daleko, a musi wystarczyć. Więcej słomy... Aniela westchnęła.
— Ze słomy mleka nie będzie. Józek buchnął śmiechem.

— Z naszego koniczu oni też pożytku mieć nie będą. Poszedł do nieba.
— Co takiego?
— Fluuuuu!... Poszedł w górę...
— Mówcie wyraźniej!
— Mówię... Spalił się. Na jednej stacji pod Krakowem ni stąd, ni zowąd poszło z dymem kilkadziesiąt wagonów. Czyli kontyngenty odstawione i wszystko w porządku.
— Czy to prawda?
— Pewna wiadomość.
Aniela pochyla się nad wiązką ostrej słomy, klującej wszystkimi ostami, jakie wyhodowały lata dotychczasowego zaniedbania wsi. Pochyla się z uśmiechem.
Władysław Dunarowski

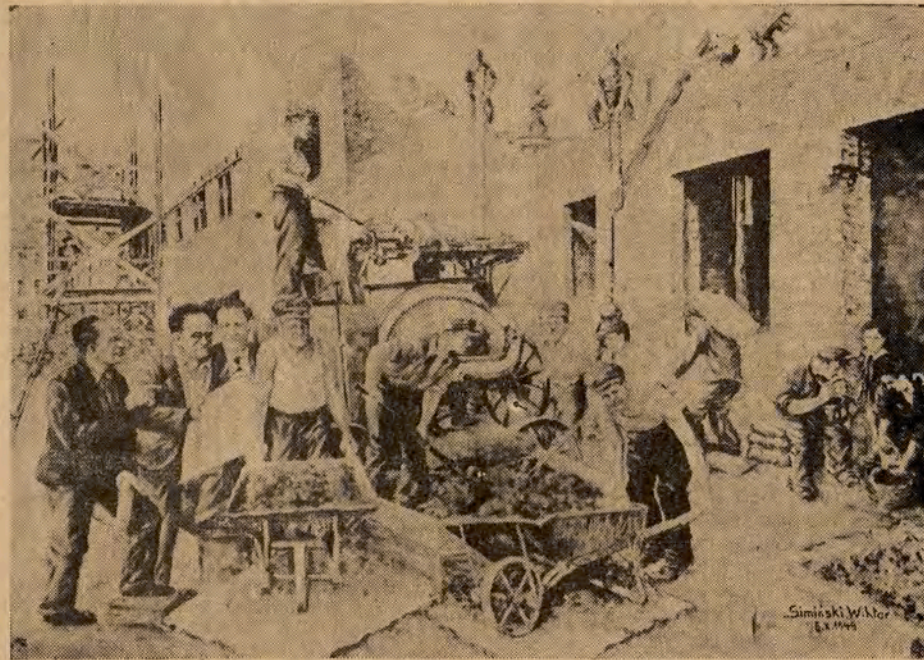
Andrzej Wróblewski

SZTUKA PLASTYKÓW - AMATORÓW



A. Mardkiewicz: Budowa (akwarela)

Fot. H. Romanowski



Wiktor Simiński: Przy betoniarce (olej)

Fot. H. Romanowski

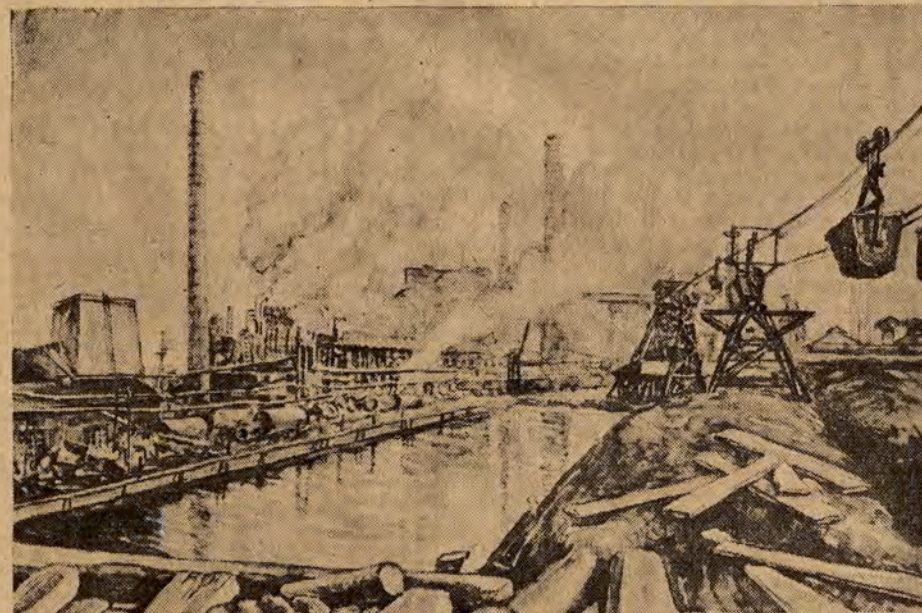
gólnopolska Wystawa Plastyków Amatorów w Warszawie jest niejednorodna pod względem artystycznym, odzwierciedlając silne zróżnicowanie klasowe naszego społeczeństwa i kilka przeciwstawnych nurtów ideologicznych. Materiał zgromadzony na Wystawie dzieli się przede wszystkim na dwa nierówne działy — amatorską wiejską i miejską. Samo istnienie takiego podziału świadczy o trwającej jeszcze częściowej izolacji kulturalnej wsi.

Większość obrazów opiera się na tematyce zawodowej i politycznej. Ujęcie tematów bywa dwojakie. Albo występuje przedstawienie robotnika przy pracy, migawkowo uchwycony zakład pracy czy scena wojenna, albo też wymieniony temat jest opracowany syntetycznie, w oparciu o próbę stylizowania zaobserwowanych ludzi i scen. Pierwsze ujęcie reprezentuje liczna grupa prac stojących na pograniczu naturalizmu. Wartość ich polega na charakterze dokumen-

tuacji jednostkowych (w naszym wypadku stworzenie typowych cech pracy zespołowej kilkusobowej grupy robotników). Opisany przykład pokazuje jako istotne społeczne treści pracy zespołowej ześrodkowanie pracy fizycznej i umysłowej na koordynacji i sprawności wykonania, ustosunkowanie się wzajemne różnych funkcji w zespole, wreszcie ustosunkowanie się jednostek przodujących i reszty zespołu. Obok tych treści typowych dla pracy zespołowej cytowany obraz wyraża jeszcze treści społeczne ogólniejsze, np. prymat inteligencji robotnika w stosunku do jego sprawności fizycznej (twarze bardziej wyraziste niż całe postacie!) i prymat człowieka obdarzonego wolą i inteligencją w stosunku do przyrody (analogicznie — różny stopień wyrazistości).

Reasumując: obecna sztuka amatorska zawiera najrozmaitsze formacje artystyczne, odpowiadające formacjom klasowym. Sztuka oparta o ujęcie naturalistyczne lub fotograficzne jest debiutem środowisk pozbawionych tradycji artystycznych, debiutem zdrowym i koniecznym dla wyrównania kulturalnego poziomu społeczeństwa. Formacją o największych możliwościach rozwojowych jest sztuka realistyczna i tematowa niektórych środowisk robotniczych. Cechuje ją aktywny stosunek do tematu wyrażający się w typizowaniu ludzi i sytuacji.

Można powiedzieć, że opisany wpływ tematu przeżytego na formę obrazu jest jednym z czynników, różniących współczesny realizm, a przynajmniej jego ujęcie w sztuce amatorów, od naturalizmu. Plastyczny amator uwzględni przede wszystkim to, co w fakcie jednostkowym jest najcharakterystyczniejsze dla jego treści społecznej. Mamy tu do czynienia z typizacją, choć nie tylko w sensie stwarzania typu człowieka na podstawie obserwacji jednostek, ale i w sensie stwarzania typu sytuacji na podstawie sy-



Władysław Rybark: Koksownia „Emma” (akwarela)

Fot. H. Romanowski

W większości prac na Wystawie jest dziełem robotników, urzędników i rzemieślników miejskich. Rozbicie tych prac na co najmniej cztery grupy ułatwi analizę eksponatów. Celem grupowania będzie wyłuskanie pozycji najistotniejszej z punktu widzenia dalszego rozwoju sztuki amatorskiej i sztuki w ogóle.

W pierwszej grupie trzeba wyodrębnić obrazy pokrewne lub pochodzące z prymitywizmu wiejskiego. Ich cechą charakterystyczną jest beztematowość (pejzaże) oraz wysoka kultura koloru. W stosunku do prymitywizmu wiejskiego nie posiadają tak bezwzględnej precyzji w rysowaniu przedmiotu, natomiast są bardziej jednolite w podporządkowaniu wszystkich motywów przyjętej w obrazie formie artystycznej. Wydaje się, że grupa ta nie jest związana z żadnym określonym środowiskiem klasowym i — jako taka — ma charakter przejściowy.

Następna grupa obejmuje liczne prymitywizmy naturalistyczne. Określenie to oznacza sztukę, która przez wielokrotne kopiowanie wzorów naturalistycznych bez konfrontacji ich z obserwacją natury stworzyła swoistą formę artystyczną, opierającą się na błędnym światłocieniu. Naczelny temat obrazów tej grupy to „Kwiaty”; pochodzenie klasowe — o ile można sądzić z danych katalogu — przeważnie rzemieślnicze i urzędnicze.

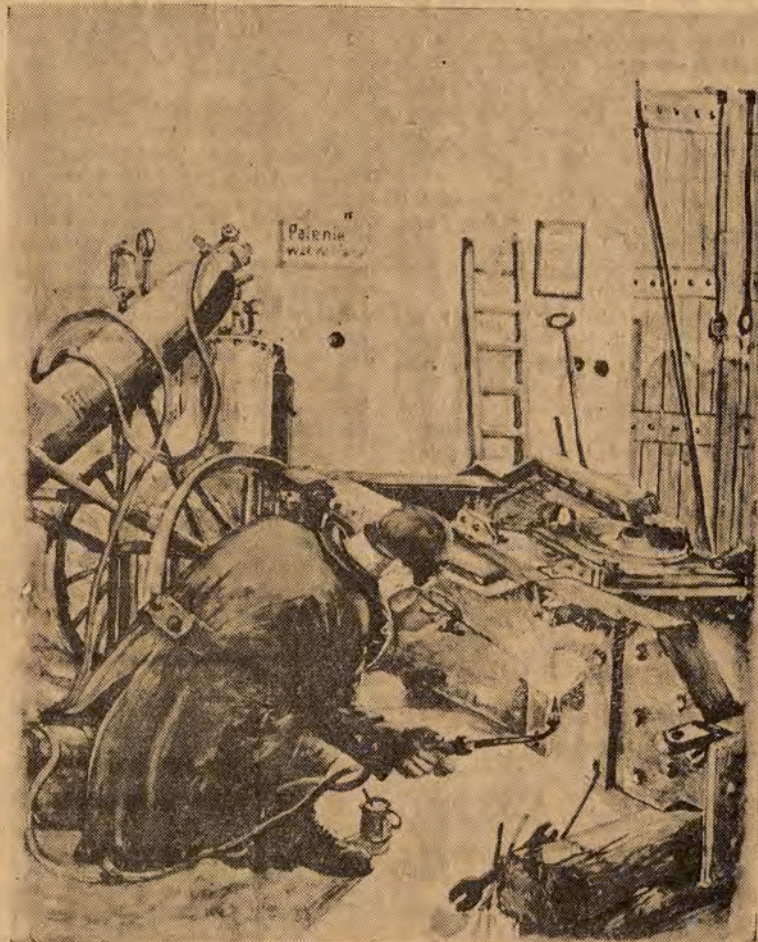
Pozostała grupa obrazów stanowi trzon Wystawy. Autorami ich są głównie robotnicy i urzędnicy.

tarnym, na ich wierności i bezpośredniości w stosunku do odtwarzanego życia. Można by powiedzieć, że sens tych prac — dla autora i dla świadomości danego środowiska — jest tego samego rodzaju, co sens codziennych studiów z natury dla malarza, co systematyczne analizy i eksperymenty dla naukowca. Nie są one wartościowe same dla siebie, ale stanowią jedną i konieczną metodę poznawania rzeczywistości, pozwalającą na późniejszą syntezę.

Odpowiednikiem tej syntezy byłyby prace zaliczone do drugiej grupy, prace nacechowane aktywnym stosunkiem do tematu. Formalnie mamy tu do czynienia z samodzielnie w stosunku do naturalizmu koncepcjami plastycznymi; tematuowo z doszukiwaniem się socjalistycznych treści w scenach pracy zbiorowej i treści klasowych lub narodowych w scenach rodzajowych i wojennych.

Na jakiej podstawie wyodrębniam spośród kilku przedstawień — np. pracującego zespołu robotników — obrazy o biernym, analitycznym stosunku do życia oraz takie, które stanowią jego syntezę i to syntezę oceniającą?

Zanalizuję konkretny przykład obrazu, odpowiadający drugiemu określeniu, np. nr 432, „Przy betoniarce” Simińskiego. Malarz szuka w tym temacie treści społecznych, obiektywne, czy świadomie czy nie. Znajduje je



Zygmunt Janowski: Spawacz (akwarela)

Fot. H. Romanowski

Leszek Goliński

List z Wrocławia

Jest już lato w całej pełni i późnym wieczorem stukają po brukach Wrocławia ciagniki i przyczepy, ubielone pyłem. Ogorzali ludzie w kombinach, przepasani szerokimi gurtami, w hełmach na głowie, kiwają się sennie w takt motoru, ćmając papierosy. Brygady odgruzowania miasta skończyły swój dzień pracy. Jak co dzień, pozostali za nimi stopy gruzów, kiedy rankiem wznosiły się tu jeszcze ściany, wypalone kikuty domów, grożące spokojnym przechodniom nagłą śmiercią.

Wrocław jest o tej godzinie zmierzchu piękny. Odurzająco pachną kwiaty w podmiejskich ogrodach, Odra zastyga zwolna w nocy, bliżej w niej ognie latarni z nadbrzeżnych bulwarów. Kiedy przez cały dzień tętniło rozgwarem i hałasem śródmieście, teraz odżywiają dzielnice willowe: błękitne tramwaje wyrzucają nowe i nowe partie zmęczonych całodzienną pracą ludzi, budzą się ogrody i ciche, białe domki w zieleni.

Przedmieście Wrocławia ciągle jeszcze ma charakter wiejski. Nie dlatego, aby wyrastać tu z ziemi mizerne lepianki, aby chyliły się ze starości koszarowe domki. Przeciwnie: wille są ultranowoczesne, bloki zachwycają swoją architekturą, ulice są obszerne i rucliwe. Ale Wrocław jest miastem, gdzie wsiąka w jego mury nadspodziewanie wielka ilość ludzi ze wsi. Przynieśli oni tu ze sobą swoje upodobania i zwyczaje. Zaszczepili życie wsi w życie miasta.

Nikogo więc nie gorszą obrazki, gdzie z szeroko otwartego okna wygląda na ulicę rogaty żeb kozy, albo gdy na progu nowoczesnej wille kobieta karmi swoje małe. Albo, gdy przez wielkomiejskie ulice przeciągnięte są sznury, na których suszy się bielizna. Przybysz zdziwiony tym widokiem, rzuca pod adresem miasta niepocholebne epitety. Mieszkaniec czuje się swojsko, po domowemu: tu, na przedmieściach, w dzielnicach willowych, pełnych słońca i zieleni, nieomal wszyscy się znają. Kobiety stają wieczorami pod siatkami, dzielącymi ich ogrody i gwarzą długo w kścieńcowe nocy. Zanoszą się harmonia i gromadny śpiew leci ulicami. Po gietkim, gorącym jeszcze asfalcie śmigają rowery i śmiech dzieci. Jest ciepło.

Koło jedenastej ulice ożywiają się znów. Tym razem powracają amatorzy kina i teatru, a jest ich ciągle więcej. Nie kin, ale ludzi.

Teatry wrocławskie zrobiły ogromny krok naprzód. Premierę zadowalała już recenzentów i znawców, zachwycając widzów, przyzwyczajonych do miernot. Prapremiera „Szalonych pieniędzy” Ostrowskiego była poważnym osiągnięciem teatralnym, do którego, obok wysiłków zespołu i dyrekcji Teatrów Dolnośląskich z Henrykiem Szletyńskim na czele przyczyniła się również reżyseria Łazarza Kobryńskiego. Tuż za nią na afisz weszła nowa sztuka, grana w drugiej sali teatralnej Wrocławia, niezbyt zresztą reprezentatywnej — Teatrze Popularnym. Tym razem były to „Odwet” Kruczkowskiego, które zdążyły już obejść kilka scen polskich.

Chłuba i oczkiem w głowie Wrocławia jest Hala Ludowa, największa kopuła w Polsce. Do niedawna wypełniały ją tłumy tylko z okazji meczów bokserkich. Wystawa Ziem Odzyskanych po raz pierwszy przełamala ten przesąd: na koncerty, tutaj organizowane ze współudziałem najwybitniejszych solistów Polski, przybyły tysiące widzów. W roku bieżącym nasilenie popularności Hali wcale nie spadło. W tygodniu Oświaty, Książki i Prasy dziennikarze wrocławscy zorganizowali tu Kiermasz Książki i Prasy, gromadząc około 25.000 widzów. Nigdy jeszcze książki nie miały takiego popytu, jak wtedy, a działacze sportowi za głowy się chwytały, marząc o takiej frekwencji na swoich imprezach.

Na nowo tłumem wrocławian (ponad 18 tysięcy) zapelniała się Hala Ludowa z okazji koncertu znakomitego śpiewaka murzyńskiego, wielkiego działacza politycznego Paula Robesona. Głos śpiewaka napelniał całą Hala, którą dotąd wokalnie mógł opanować tylko jeden Jerzy Garda.

Robeson swój występ w Hali poprzedził koncertem, który dał dla robotników Pafawagu. Po skończonym koncercie młodzież chwyciła za koła samochodu i uniosła cały wóz razem ze śpiewakiem.

Nigdzie tak bardzo, jak tutaj, póki nie wróci w życie miasta. Chyba tylko zniszczone i odbudowująca się wysiłkiem całego narodu Warszawa, chyba tylko robotnicza Łódź może tak śmiało patrzeć w oczy przyszłości. Pewność że i całkowicie spokojny — jak zauważył to we Wrocławiu Robeson — daje wiara we własne siły, daje wydajna praca, daje planowanie życia w daleką przyszłość.

A we Wrocławiu te wszystkie rzeczy składają się harmonijnie na jeden, plastyczny, sugestywny obraz miasta. Miasta, które pracuje i z pracy czerpie swoją radość.

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi”

ZA ROK 1947 i 1948
CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOŚI 1500 ZŁ

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja Tyg. „Wies”. Łódź, Piotrkowska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080. Redakcja Tyg. „Wies”, z zaliczeniem „za rocznik „Wsi” rok 1947 ew. 1948”

ADMINISTRACJA TYG. „WIES”

Adeptki „socjalizmu”

Francuski tyg. „France — Dimanche” donosi, że 584 „nowicjuszek” — dziewcząt z angielskiej arystokracji czeka obecnie na zaszczyt złożenia ukłonu parze królewskiej. Taki ukłon kosztuje przeciętnie 500.000 franków (wynajęcie domu w Londynie, toalety, koszta reprezentacyjne itp.). Jeżeli wchodzić w świat, po angielsku nowicjuszką, chce, aby zainteresowała się nią prasa, dokłada jeszcze 3—4 miliony franków na urządzenie szeregu przyjęć dla society.



Dwórk królewski zalecił ostatnio demokratyzację obyczajów wskutek czego weszła w życie moda na pracę zarobkową. Jedną spośród nowicjuszek, dziedzicząca spadkiem 400.000.000 franków złożyła podanie w Foreign Office prosiąc o posadę stenotypistki. I pracę tę otrzymała.

Złożyła także deklarację do Partii Pracy, którą zapewne podpisał sam Bevin — jako wprowadzający burżuazję do brytyjskiej Labour Party. Tak więc można w Anglii posiadać kolosalne majątki, można tracić pieniądze, pieczętować się herbem i nosić legitymację „socjalistycznej” partii. J. S.

Niech nie w'e lewica...

Według oświadczenia komunistycznego posła Ambroise Croizat, złożonego na posiedzeniu Francuskiego Zgromadzenia Narodowego, ceny produktów żywnościowych i przemysłowych we Francji są niewspółmiernie wysokie w stosunku do zarobków robotników. Stosunek ten powiększa się stale na niekorzyść zarobków. I tak koszt utrzymania robotnika wzrósł 25-krotnie w stosunku do 1938 r. w ciągu zaś dwóch lat ostatnich (1948-49) ceny wzrosły w dwójnasób — dokładnie o 110 proc. Zarobki zaś robotnicze (dane z przemysłu metalowego) są zaledwie 8,5 razy większe, aniżeli w 1939 r. Oficjalna statystyka Ministerstwa Pracy, która uwzględnia także pensje... dyrektorów zakładowych, podaje, że ogólny poziom płac jest 10 razy wyższy niż w 1938 r.

Kto na tym zarabia? Oczywiście pracodawcy — przedsiębiorcy i fabrykanci, którzy to, co jedną ręką dają, odbierają z nawiązką drugą. Jest to stara metoda polityki społecznej kapitalistów. Stara... i zawodna. K. M.

Metamorfozy

Istnieje w Austrii partia, która sama siebie nazywa „ludowa”. Do austriackiej partii ludowej należy premier rządu austriackiego Grupa. I jest oczywiste, że ta partia „ludowa” nie tylko postuluje wykonywanie wszelkie zlecenia marshallowskich aliantów. Podsuwa im też projekty, które ci wykonują, w celu umocnienia zależności Austrii od kapitału. Nie dziw też, że ta „ludowa” partia cieszy się sympatią imperialistów.



Ale ta partia „ludowa” posiada jeszcze inne zasługi. Otóż przed niedawnym czasem nawiązała ona pertraktacje z austriackimi hitlerowcami. W jakim celu? Otóż, prosili ludowcy hitlerowców, by ci poparli ich w nadchodzących wyborach do parlamentu austriackiego. Hitlerowcy przyrzekli poparcie i zażądali, by ludowcy zapewnili, że funkcję prezydenta otrzyma człowiek przychylny hitlerowcom. I „ludowcy” się zgodzili.

Austriacy „ludowcy”, tak jak i „ludowiec” Mikolajczyk, przekształcili się po prostu w faszystów. M. S.

Przyleciały jaskółki...

Przed niedawnym czasem (31 maja br.) znany publicysta amerykański Walter Lippman pisał na łamach „New Herald Tribune”, że w Stanach Zjednoczonych dają się odczuwać pierwsze oznaki nadciągającego kryzysu gos-

podarczego. „W chwili obecnej istnieje bezsprzecznie szereg sygnałów o przyszłych trudnościach, które będzie przeżywała gospodarka międzynarodowa — takie sygnały rozlegają się w Anglii, Belgii, we Włoszech, Francji i w Niemczech. Stany Zjednoczone stoją pod tym względem nie na ostatnim miejscu”.

Wiadomo jednak, iż amerykańscy monopolisci starają się zapobiec klęsce kryzysu. Przede wszystkim za pomocą planu Marshalla. By jednak skutecznie realizować plan Marshalla — muszą oni doszczętnie zniszczyć resztki suwerenności narodowej krajów zachodnioeuropejskich.

Nie dziw więc, że jeden z najbliższych doradców ekonomicznych Trumana — Steelman, oświadczył 27 maja w Chicago, iż celem zrealizowania wielkich inwestycji kapitałowych za granicą (czytaj — plan Marshalla), należy dokonać gruntownej rewizji ustaw różnych krajów, które utrudniają ekspansję kapitału amerykańskiego. Czyli — innymi słowami mówiąc, zniszczyć tę nieznaczającą resztkę suwerenności, która pozostała jeszcze krajom marshallowskim.

Ale przecież, jak mówi Lippman, w Europie Zachodniej słychać już także pierwsze kroki kryzysu. To jednak Amerykę nie obchodzi. Wall-Street chce zarabiać za wszelką cenę. Nawet na nędzy i głodzie. M. N.

Ponadczasowe pisma

156 numer „Trybuny Ludu” zwraca uwagę na fakt, że spośród pism kulturalno-społecznych tylko „Tygodnik Powszechny” oraz „Dziś i Jutro” w numerach z datą 5 czerwca 1949 r. „zapomnieli”, że dnia 6 czerwca 1799 r. urodził się jeden z czołowych liderów świata, Aleksander Puszkyn.

Nie dziwne: pisma te, zwłaszcza „Tygodnik Powszechny” — umiennie często „zapominają” o aktualnej problematyce społecznej, czy kulturalnej. Tak np. propozycje rządu uregulowania stosunków pomiędzy państwem a kościołem nie znalazły żadnego echa w „Tygodniku Powszechnym” i trzeba było czekać prawie miesiąc na oślawiony list „bi. skupów polskich, zanim w jakiejś formie



„Tygodnik Powszechny” mógłby się tą sprawą zająć. Na święto ludowe „Tygodnik Powszechny” zamieścił... refleksje Kisielewskiego „po festiwalu Polskiej Muzyki Ludowej”. Przeproszę! Na pierwszej stronie artykułu „Myśl Zielonych Świąt” — nie dziwnie się, że w tygodniku katolickim ukazuje się artykuł o „Zesłaniu Ducha Świętego” — ale... właśnie — „ale” „Tygodnik Powszechny” na temat święta ludowego nie pisze. A o radykalnych tradycjach ruchu ludowego — też nie. Bo cóż — radykalne tradycje — to trzeba by i „materializm” i „siła materialna” — a jak pisze ks. Piwowarczyk „Dzień Zielonych Świąt... otwiera nam oczy na istotę Ducha Św. ...Znaczący, że jej nie stanowi siła materialna; dlatego każe nam przeciwdziałać urokowi, jaki ona rzuca...”

Czas mija nad „Tygodnikiem Powszechnym”... G.

Nowy rekord

Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych zameldowały przed paru dniami Ministerstwu Oświaty o wykonaniu (w Zakładach Graficznych w Bydgoszczy) pięćdziesiąt milionów książek szkolnej w ramach działalności wydawniczej PZWS.

Oznacza to, że w przeciągu 4 lat PZWS wyprodukowały już 50.000.000 książek szkolnych, że każdy uczeń w Polsce nabył w ciągu tych czterech lat około 10 książek wydanych przez PZWS (nie licząc innych wydawnictw).

Jeśli sobie przypomnimy, że przeciętna roczna produkcja przedwojenna wszystkich wydawnictw szkolnych w Polsce wynosiła 4 mil. podręczników, gdy PZWS wydają same — przeciętnie 12 milionów, wówczas zrozumimy po 1), że polityka kulturalna Pol. ski Ludowej idzie w kierunku upowszechnienia oświaty i kultury, po 2) że w tym marszu zasadniczą rolę odgrywa klasa robotnicza, na jej barkach bowiem spoczywa

zadanie wzmocnienia tempa produkcji i podniesienia jej jakości.

Meldunek PZWS o wydaniu 50.000.000 książek — jest obok coraz liczniejszych meldunków napływających z fabryk, hut, kopalń i wsi — najlepszą ilustracją naszych rewolucyjnych przeobrażeń kulturalnych. tp.

Prze'rzymy biblioteki

W bieżącym etapie walki o upowszechnienie dobrej książki zapomniano o pewnej ważnej sprawie, mianowicie o zorganizowaniu społecznej kontroli, której celem byłoby eliminowanie z bibliotek książek bezwzględnie szkodliwych.

W bibliotece S.S. Felicjanek w Krakowie jest w obiegu czytelniczym książka Renzo Chiosso pt. „Czerwona przepaść” wydana przez towarzystwo św. Pawła za zezwoleniem Kurii Biskupiej (Częstochowa, 4. III. 1939). Czego dowiaduje się młodzież z książeczki, na której obieg dała swoje inprimatur Kuria Biskupia? Że hiszpańscy falangści to bohaterowie, którzy bronią honoru i wiary ocalałi Hiszpanię przed terrorem proletariatu. Najbliżsi przyjaciele oprawy Europy — Hitlera, gen. Franco i Mussolini to opatrzniościwi meżowie. Przez całą, lichą zresztą napisaną książeczkę — przebiega zachwyt dla ekspedycyjnych armii faszystowskich. Nie ma chyba strony, na której nie czytamy: Niech żyje Franco, niech żyje Mussolini, niech żyje faszizm. Aż włosy stają na głowie, kiedy się pomyśli, że w internacie S.S. Felicjanek czyta dzisiejsza młodzież gimnazjalna niewybredne inwektywy pod adresem najwybitniejszych wodzów proletariatu, zestawia obok siebie Boga z Franco, Mussolinim, Hitlerem, jako jego obrońcami.

Nie trzeba tu mówić o społecznej szkodliwości książki z biblioteki S.S. Felicjanek. Bo to jest oczywiste. Trzeba natomiast podkreślić ścisły związek polityki pewnej części kleru z faszyzmem.

To jest także oczywiste.

Społeczna kontrola książek wykryłaby z pewnością wiele podobnych wypadków, utrzymywania w obiegu czytelniczym ponad wszelką wątpliwość szkodliwych, skompromitowanych ideologicznie książek. I. C.

Teoria i praktyka

W nocy pt. „Gmina czy parafia” (Wies” Nr. 14/49) pisał autor o sołtysie gromady Lisna gm. Doleck. Nawiązując do tego artykułu muszę stwierdzić z goryczą, że ten właśnie sołtys, który nie chce być sługą księdza, w kwietniu na wiecu w Starej Rawie gm. Doleck był publicznie potępiony przez ob. Tajkowskiego — administratora majątku Skiernewice.

Ob. Tajkowski byłby administratorem w majątkach hrabiów i obszarników, wygłaszał referat o oddzieleniu Kościoła od Państwa. Po referacie jeden z chłopów powiedział, że sołtys gromady Lisna sprzeciwił się księdzu proboszczowi i nie chciał nakazać ludziom swej gromady, aby uczestniczyli w rekolekcjach i spowiedzi wielkanocnej. Hrabski eks-rządca uniósł się na to straszny gniewem i publicznie napiętnował czyn sołtysa i domagał się, ażeby Gm. Rada Narodowa zaraz sołtysa zmieniła, tylko dlatego, że sołtys nie chce być sługą księdza, lecz uważa się za człowieka — urzędnika dla spraw gminnych. Dawny przyjaciel hrabiów oddzielił w referacie Kościół od Państwa w praktyce zaś przeciwnie. Moim zdaniem w Polsce Ludowej nie należy mieszać religii i Kościoła z polityką i gminą. Sołtys jest pracownikiem społecznym gminy a nie kościelnym. Przecież wiary nie można nakazywać, niech każdy wierzy wedle uznania. Bóg jest jeden, a wyznani mamy kilka. Przysłówie mówi: „przymusowa modlitwa jest Bogu niemila”. Zdać się, że ob. Tajkowski na tym zebraniu zapomniał, że Państwo Polskie do wiary i sumienia żadnego obywatela Polski Demokratycznej się nie wtrąca i wszystkie wyznania jednakowo honoruje, bo Bóg jest jeden, a nas miliony, niech zatem każdy tak się modli jak umie i jak chce. Cień

Zobowiązanie

Do Redakcji Tygodnika „Wies”
PROŚBA

Z wielkim zainteresowaniem czytam gazety. Ciekawia mnie wszystkie sprawy naukowe i polityczne, a wszystko to można znaleźć w prasie.

Niedawno wpadł mi w ręce Wasz tygodnik, w którym było dużo wiadomości z literatury, potrzebnych mi tak bardzo w szkole.

Więc piszę do Redakcji prosząc bardzo, aby przysłała mi swój tygodnik, który byłby najlepszym moim nauczycielem i towarzyszem. Obecnie chodzę do 7 kl. szkoły powszechnej a po wakacjach będę uczył się w domu drogą korespondencyjną.

Myślę, że Redakcja zdecyduje się wysłać mi „Wies”, przez co przyczyni się wielce do ułatwienia mi pracy w nauce. Proszę, aby wysłała mi zaraz po otrzymaniu mojej prośby, ponieważ na wakacje nie wyjadę nigdzie na wczasy i miałbym dużo czasu na korzystanie z lektury przygotowując się do dalszej nauki.

Przyrzekam, że kiedy wyuczę się, będę najbliższym Waszym towarzyszem, a działalnością swą odwdzięczę się już teraz za przysyłanie „Wsi” — będę bowiem pracował społecznie na terenie młodzieżowym.

Wies Kaliska, pow. Turek.
Pilecki Stanisław

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓŁ.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-01876